Nr. 10. W Tarnowie, 20-go maja 1908. **R. XII.**

DWUTYGODNIK
katechetyczny i duszpasterski

wychodzi 5-go i 20 go każdego miesiąca, wyjąwszy wakacyj.

Prenumerata wynosi:
Do 30-go czerwca . . . . 6 K.
Za granicą . . . . 7 „
Numer jeden 70 h.

Inseraty, odpowiadające treści pisma, płatne z góry, po 20 hal. od wiersza petit.

Reklamacye wolne są od opłaty pocztowej. Uwzględnione być jednak mogą tylko do dni 14 po wyjściu numeru.

W Kongresówce i na Litwie do 30-go czerwca 4 R.

Adres Redakcyi i Administracyi: Tarnów, ul. Przecznica Różana l. 3.

„In necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus charitas“.

Wybór miejsca pod kościół.

(C. d.). Niema nic czasem trudniejszego jak obranie miejsca pod budowę. Zachodzą niekiedy tak przeróżne sprzeczne okoliczności, na przestrzał się wzajemnie krzyżujące, że rozstrzygnięcie pozostaje zagadką na długie lata nie do rozwiązania.

Zdarzają się wypadki, kiedy drobne zachcianki osobistej woli stają na drodze w poprzek; wtedy zrozumienie dobra publicznego musi doprowadzić do zwycięstwa. Innym razem zaważą znowu na szali względy zaiste bardzo poważne i zawikłane; wtedy sąd technika biegłego winien stanowczo służyć za wyrocznię.

Rozważmy przedewszystkiem, jaki kierunek ma zająć tak zw. „*linia święta*“ kościoła, czyli oś główna budowli, łącząca środek drzwi głównych ze środkiem Ołtarza Wielkiego.

Zwyczajem średniowiecznym winna ona biegnąć od wschodu ku zachodowi. Jeżeli nic nie stoi na przeszkodzie, normy tej nie powinniśmy zaniedbywać. Jest to symbol wieloznaczny, dlatego przez pamiątkę samą należy go podtrzymywać.

Nie da się wszakże zaprzeczyć, iż w czasach dzisiejszych rzadko bardzo da się to uskutecznić. Dlaczego? Gło-

wnie z tej przyczyny, że niegdyś po większej części zaczynano siedziby ludzkie od budowania kościołów, które zatem można było swobodnie zakładać—dziś przeciwnie zachodzi potrzeba wznoszenia kościołów w pośród osad ludzkich od wieków już ustalonych.

Kościół skutkiem tego nie zawsze i nie wszędzie znajduje dobre miejsce. Jeżeli przeto kościółek, dajmy na to, drewniany, starodawny, stał na miejscu ciasnem, na którem kościół nowy nie znajdzie umieszczenia wygodnego, to w tym wypadku przeniesienie kościoła nowego na miejsce inne, choćby nieodpowiadające kierunkowi „*linii świętej*“, prawidłowej, będzie lepsze i słuszniejsze, aniżeli budowa szczupłego kościoła nowego na ciasnem miejscu pierwotnem. To jasne!

W każdym razie lekceważyć przepisu liturgicznego co do kierowania świątyni Bożej wielkim ołtarzem ku wschodowi nie powinniśmy i tylko wtedy od tego przepisu odstąpić nam wolno, gdy ważne trudności przeciw temu przemawiają.

Położenie kościoła następnie zależeć może od wymogów czysto estetycznych lub czysto praktycznych.

Był czas przed wiekami, kiedy z ochotą wznoszono u nas kościoły na najwyższych wyniosłościach każdej okolicy.

W wiekach owych bezwiednie szukano poezyi; być może, iż zamki warowne dźwigano na skałach dla obronności, iż gościńce niemal z zasady przeprowadzano poprzez góry dla opanowania okolicy, iż miasta i wsie zakładano na wzgórzach dla zdrowia—mimo to nie da się zaprzeczyć, że istniała w tem wszystkiem pobudka estetyczna, może nieświadoma, a jednak szukająca uroczego piękna na każdym kroku.

Najlepszym dowodem tego jest właśnie zakładanie kościołów dawnych. Nie wszędzie i nie zawsze było to możliwem, a jednak w wielu miejscach umiano ocenić *piękno* naturalne i budowano świątynie na górze; można nawet rzec, że ilekroć nie było przeszkód bardzo ważnych, nie zstępowano na dolinę. Zasadę tę musiano często porzucać przy kościołach parafialnych, natomiast kościołów lub kaplic, poświęconych wyłącznej czci Patronów okolic niektórych, nie stawiano nigdzie inaczej jak tylko na górach najwyższych. Dla przykładu wspomnimy kilka takich miejsc, uświęconych wiekami. Koło Brzeska nad Jadownikami jest góra Bocheniec, najwyższa w tej okolicy. Na wierzchołku

jej wznosi się mały kościółek, bardzo czczony. Miejsce to musiało być niegdyś obronnem, bo do dziś pozostały tam wały i okopy. Stanąwszy nad krawędzią stoku, można objąć wzrokiem ogromny szmat ziemi. To też w dali dostrzedz można kilka miejsc podobnych. Widać stąd np. kościółek stary, drewniany na górze koło Siedlisk-Bogusz, pod wezwaniem św. Grzegorza, za Pilznem. Tu stanąwszy, spostrzedz można znowu na zachodzie kościółek św. Marcina nad Tarnowem — stąd zaś doskonale dostrzeże każdy kościółek na Bocheńcu, wyż wspomniany, lub kościół odpustowy, z wieżą bielejącą, w Odporyszowie.

Każdy dzień słoneczny łączy te miejsca wzajemnymi widokami, które przez piękno położenia, panującego nad dalekim horyzontem, istotnie podnoszą ducha i kształcą serce. Wrażenia takie wpajają się w człowieku od lat najmłodszych i przyzwyczajeniem się stają, tak, że są ludzie, którzy czują pociąg niepowstrzymany do oglądania miejsc podobnych od czasu do czasu.

W sposób taki strona estetyczna przyczyniała się skutecznie do rozgłosu każdego miejsca, czcią uświęconego.

Nawet nocą niekiedy, w dni odpustowe, lubiano sygnalizować z miejsc takich w strony dalekie i głosić święta uroczyste przez ognie wielkie, stosy rozpalone, beczki smolne itd. Wówczas nie jedna miejscowość najbliższa otoczenia, ale część kraju udział w święcie brała.

Dziś niestety! nie tak łatwo trzymać się tej zasady, niełatwo zakładać kościoły na górach wysokich. Kościoły, zwłaszcza parafialne, wymagania mają wcale inne. Muszą być bardzo łatwo dostępne—i ze względu na koszta dostawy materyałów budowlanych szukają ile możności miejsc na równinie, nie na górze.

Jakkolwiek atoli niepodobna zaiste marzyć dziś o tem, aby świątynie nowe stawiano po górach, mimo to przecież dolin unikać stanowczo się powinno. Doliny zazwyczaj wiele wilgoci trzymają i z tego powodu nie zalecają się pod budowę kościołów.

Jeżeli gdzie okolica rozpościera się na równinie, jak stół gładkiej, tam, rzecz prosta, niema się co namyślać. Gdy wszakże z pomiędzy dolin wyrastają wzgórza i wyniosłości, zalecają się one koniecznie, aby dać im pierwszeństwo przed dolinami przy budowie. Kościół postawiony na wzgórzu, choćby wcale niedużem, zyskuje estetycznie bardzo

wiele, panuje nad otoczeniem i co najważniejsza bywa stale od wilgoci zabezpieczonym.

Nie każde wszakże wzgórze nadaje się do tego celu Przedewszystkiem za zasadę przyjąć należy, że kościół może stać tylko na samym szczycie pewnej wyniosłości, a nie na stoku jej. Zachodzi tu ogromna różnica. Budowa każda, postawiona na pochyłości, stale spadającej, prawie zawsze narażoną bywa na zamakanie murów i fundamentów. Jeżeli przytem pochyłość jest dość znaczna, to i wykonanie fundamentów może być bardzo trudnem, kosztownem, a czasami mimo to niezupełnie pewnem i trwałem.

Rzecz prosta, że budowa kościoła założona na stoku podłużnym góry, choćby nie wysokiej bardzo, ale rozległej, jeszcze gorsze przedstawia warunki. Woda deszczowa lub i kryniczna, z góry ku dolinie spływając, może nietylko stale zawilgacać mury, ale prócz tego czasami zdoła nawet podmyć łożysko fundamentowe, tak zwaną *ławicę*. Podmywanie *ławicy* fundamentowej, jakkolwiek nieznaczne, przez wody płynące i spadające, jest dla budowli każdej najgroźniejszem. Tego strzedz się należy jak najstaranniej.

Sama zresztą *równia* pochyła, którą tworzy pochyłość wzgórza, nie nadaje się do zakładania *ławicy* fundamentowej. Ściśle teoretycznie i praktycznie rzecz biorąc, ławica ta powinna zawsze *podeszwą* swą, t. zn. spodnią warstwą, stać na płaszczyźnie idealnie poziomej. Każde pochylenie podeszwy nie przyczyni się do trwałości fundamentów, ale przeciwnie narazi je na obsuwanie się i na ruch wprawdzie minimalny, ale zawsze w skutkach widoczny w murach górnych i sklepieniach.

Gdzie wykluczona jest wszelka możliwość, aby *podeszwa ławicy* fundamentowej założyć się dała na płaszczyźnie poziomej, tam w ostateczności radzić wolno sobie przez obniżanie jej stopniami czyli schodkami. W każdym razie każdy stopień podeszwy ławicznej musi dla siebie być ściśle w poziomie założony.

Wynika z tego, iż mając dane wzgórze, powinno się kościół postawić na miejscu jego najwyższem. Można potem przypuszczalnie miejsce to *spoziomować* (zniwelować), a tak zabezpieczyć je od wszelkiej wilgoci, przez co zyskuje ono ogromnie na wartości, równie jak przez wzgląd na ławicę zupełnie poziomą.

To są ogólne uwagi, które oczywiście czasami nie dadzą się ściśle zastosować do pewnych warunków wyjątko-

wo, a szczególnie niekorzystnych. Będziemy się starali później omówić pokrótce i te wyjątki.

Wracając do zasady *położenia* kościoła, powtórzymy raz jeszcze, że najkorzystniejszem w tym razie jest *wzniesienie* miejsca po nad doliny okalające. Praktycznie zyskuje się na suchości murów, estetycznie na wywyższeniu dzieła architektonicznego, jakie bądź co bądź powinno panować nad okolicą.

Zachodzą jednak czasami przeszkody bardzo ważne do założenia świątyni na wzgórzu, chociażby ono najponętniej się przedstawiało i najlepsze korzyści przedstawiało.

Najważniejszą przeszkodą jest oddalenie wzgórza od siedzib ludzkich, od probostwa, wreszcie od gościńca, czyli ogólnie określając: od głównej arteryi ruchu publicznego.

Czasami zaprawdę niewiadomo, jak osądzić, który z tych trzech warunków oddalenia jest najważniejszym: czy oddalenie od siedzib ludzkich, czy od probostwa lub wreszcie od arteryi ruchu publicznego. To jedno orzec można stanowczo, że wszystkie te trzy warunki są niezmiernie doniosłe. Idealnem przeto byłoby położenie takie, aby kościół, mogący stanąć na danem wzgórzu, był blizkim mieszkań ludzkich, rzec można, w pośrodku ogniska ludzkiego, dalej aby był w sąsiedztwie plebanii i ostatecznie stał przodem niedaleko głównego gościńca publicznego.

Kościół taki odpowiedziałby naturalnie najważniejszym zadaniom swoim: byłby nasamprzód istotną strażą moralną dla danych siedzib ludzkich, bo otaczałby opieką bezpośrednią wszystkie domostwa, patrzałby na wszelkie sprawy dzienne, na każdy uczynek ludzki — byłby najbliższym mieszkania tego sługi Bożego, który właściwie większą część życia swojego w kościele przepędza — a nareszcie byłby najłatwiej dostępnym dla każdego przechodnia, pielgrzyma i podróżnika. — Ostatniego względu nie należy lekceważyć, albowiem kościoła nikt nie powinien szukać; kościół powinien sam nasuwać się przed oczy przechodnia i temsamem zachęcać każdego do wstąpienia do wnętrza jego, powinien zatem być jak najbliżej drogi publicznej, zawsze blizki, czy w deszczu, czy w śnieżycy, podczas burzy lub słoty. —

Najszczęśliwsze wyjście, gdy znajdzie się gdzie miejsce, odpowiadające tym trzem warunkom.

Nie zawsze jednak tak bywa. Często się zdarza, iż gdy jeden z tych warunków dogadza, inne dwa są niemożliwe,

lub przeciwnie. Zależy wówczas od rozpatrzenia się i rozsądzenia, co w danych okolicznościach winno przeważyć.

Zachodzi atoli jeszcze jedna trudność w ocenieniu dobroci miejsca budowlanego. Jest nią skład ziemi i rodzaj pokładu, mający służyć za podstawę dla ławic fundamentowych.

Niełatwo zatem rozstrzygnąć, które miejsce najsposobniejsze jest pod budowę kościoła, bo tam, gdzie pokład najlepszy, mogą zachodzić warunki inne, o których była mowa, jak najfatalniejsze, a naodwrót tam, gdzie ze względu na warunki pierwsze byłoby najskładniej, może być pokład ziemi najnieszczęśliwszy...

Zadanie to wkracza już w orzeczenie czysto techniczne. Potrzeba w tym celu zasięgnąć koniecznie rady znawców — i to doświadczonych. *Dr. Zubrzycki J.*

Dysputa berlińska.

(Dok.) Ósmym mówcą był Dr. *Juliusburger*, lekarz psychiatra. W krótkiem ale treściwem przemówieniu usiłował obalić twierdzenie Wasmanna o istnieniu zasadniczej różnicy między duszą ludzką a zwierzęcą i oparty na tem twierdzeniu wniosek o niemożebności pochodzenia jednej o drugiej. Oto niektóre zarzuty oponenta. Błędem jest — mówi — upatrywać istotę duszy w myśleniu, bo ona raczej tkwi w pożądaniu i uczuciu. Gdy się w ten sposób kwestyę przedstawi, to łatwo stwierdzić istotną tożsamość rośliny, zwierzęcia i człowieka. Na to jednak zaraz odpowiedzieć musimy, że takim samym błędem jest upatrywać istotę duszy czy w myśleniu, czy w chceniu czy w uczuciu. Nie można bowiem utożsamiać czynności psychicznych z ich podmiotem, z ich przyczyną sprawczą, którą zowiemy duszą; można tylko z natury tych czynności wnioskować całkiem słusznie o naturze samej przyczyny. Pomijając poznanie, a uwzględniając tylko chcenie i uczucie, zmuszeni jesteśmy i pod tym względem przyjąć zasadniczą różnicę między człowiekiem a zwierzęciem, a roślinom wprost odmówić tego rodzaju objawów psychicznych. Tylko fantazya monistyczna może się dopatrzeć śladów uczucia czy pożądania świadomego u roślin i na odwrót nie dojrzeć ogromnej różnicy między wolą i uczuciami człowieka, a pożądaniem i popędami zwierząt. Skoro zaś istnieje za-

sadnicza różnica między czynnościami istot żyjących, więc i ich samych na równi stawiać nie można.

Analiza aktów psychicznych człowieka—nastaje oponent—nie domaga się wcale przyjęcia jednolitej, niepodzielnej duszy duchowej, przeciwnie wykazuje ogromną rozmaitość uczuć, postrzeżeń, wyobrażeń, których asocyacya wypełnia życie psychiczne człowieka. Odpowiadamy, że zbyt to powierzchowna i pobieżna analiza, dla której życie psychiczne człowieka zamyka się w granicach kojarzenia się wyobrażeń. Głębsza analiza mówi coś więcej: a najpierw mówi, że jeżeli istnieją akty psychiczne, to musi też też istnieć osobny i stały ich podmiot psychiczny czyli dusza, bo niema działania bez tego, który działa, niema w zwykłym porządku rzeczy przypadłości bez odpowiednej substancyi, a następnie mówi, że czucia, spostrzeżenia i wyobrażenia nie wyczerpują jeszcze w całości poznania ludzkiego, które obejmuje nadto akty od poprzednich co do istoty różne jakimi są pojęcia, sądy i wnioski. Ponieważ skutek nie może być doskonalszy od przyczyny, przeto charakter duchowy i niemateryalny wspomnianych aktów poznawczych nakazuje i ich przyczynie czyli duszy przypisać niezłożoność i duchowość.

Doświadczenia czynione na zwierzętach i ludziach —zarzuca dalej mowca — wykazały, że większa część naszego życia psychicznego przywiązana jest do pewnych miejsc kory mózgowej. Tego rodzaju lokalizacya dowodzi nie jednolitości, ale raczej wielkiej złożoności naszej duszy. Faktem jest także, że przynajmniej niektóre choroby umysłowe są najwidoczniej wynikiem nadwerężenia lub uszkodzenia mózgu. Samo zresztą istnienie chorób umysłowych jest dowodem, że niema duchowej i niezłożonej duszy, bo takaby chorobom podlegać nie mogła.

Co się tyczy lokalizacyi mózgowych, możemy o nich mówić ale tylko w zakresie funkcyi organicznych, do których spełnienia dusza koniecznie potrzebuje współudziału ciała. Tu należą czucia, wyobrażenia, zmysłowe popędy i żądze; tu należy wszystko, co stanowi stronę zmysłową naszej mowy. Natomiast nic a nic nie upoważnia do umiejscawiania wyższych czynności psychicznych, jak myślenia i wolnego chcenia. Podmiotem tych czynności może być tylko dusza duchowa. Jeżeli zaś zdarza się, że uszkodzenie mózgu wywołuje choroby umysłowe, to tego rodzaju zjawisko ma wytłómaczenie w ścisłym związku i stosunku, jaki zachodzi między wyższemi a niższemi czynnościami psychicznemi człowieka. Dusza bowiem ludzka nie jest szczerym duchem mieszkającym w ciele, lecz duchem jak najściślej połączonym z ciałem w jednę substancyalną całość.

Dusza ludzka i ciało tworzą razem dla czynności zmysłowych, organicznych, wspólny pierwiastek działania. Kiedy więc mózg ulegnie jakiejś dezorganizacyi, to taki stan odbija się niekorzystnie na wszystkich czynnościach psychicznych, a mianowicie bezpośrednio na czynnościach zmysłowych a pośrednio na umysłowych. Wszak i największego mistrza gra staje się fałszywą, jeżeli fortepian jest rozstrojony; podobnie nie może dusza należycie używać władzy myślenia, jeżeli się psuje jej instrument: mózg, który przez nerwy i zmysły między światem a nią pośredniczy.

Ciekawy jest ostatni zarzut. Jako psychiatra — mówi oponent — mam szczególniejszy powód, żeby wystąpić przeciw nauce o duszy duchowej. Dokąd bowiem ta nauka panowała w kołach psychiatrów, dotąd obchodzenie się z chorymi umysłowo pozostawiało wiele do życzenia; im zaś więcej brał górę monizm, tem lepiej było chorym. Uważam ten zarzut za ciekawy dlatego, że ma świadczyć na korzyść moniznu wbrew wszelkim pozorom prawdy. Jeżeli jest rzeczywiście jakiś postęp w trosce o chorych umysłowo, to nie wyniknął on wcale z monizmu, ale z rozwoju humanitarnych dążeń, które pozostały jako cenne dziedzictwo poglądu chrześcijańskiego. I zaiste chrześcijańskie przykazanie miłości bliźniego wydało tyle i tak wspaniałych owoców i dotąd wydaje, że raczej wypada powiedzieć: im będziemy lepszemi chrześcijanami, tem lepiej będzie naszym chorym.

Następnym mowcą był Dr. *Plötz*, antropolog i wydawca: „Archiw für Rassenbiologie". Na dwie przeszkody zdaniem jego napotyka Wasmann w przyjęciu pochodzenia człowieka od zwierząt Pierwszą stanowi rzekoma przepaść, dzieląca duszę ludzką od zwierzęcej—i tę przeszkodę usunął poprzedni mowca. Drugą jest wzgląd na opis biblijny, według którego dla człowieka trzeba przyjąć osobny akt stwórczy. Ale i tę przeszkodę można łatwo usunąć. Wystarczy podnieść, że takie przyzywanie na pomoc Stwórcy do niczego nie prowadzi, bo wtedy wolno iść dalej i na podstawie tejsamej logiki pytać: a ten Stwórca od kogo pochodzi? a tego Stwórcy kto jest Stwórcą? i tak bez końca! Niestety Wasmann uważał za stósowne uchwycić się takiej właśnie logiki i powodowany koniecznością przyjęcia aktu stwórczego odrzucił wprost wszelkie pośrednie formy między człowiekiem i zwierzęciem. A przecież gdyby sumienniej zbadał kształt i wielkość czaszki małpoluda z Jawy, uznałby w nim z pewnością jednę z form pośrednich.

Przecenił Plötz wartość dowodów poprzedniego mowcy; przecenia swoje, jeżeli sądzi, że mają one siłę przekonywującą.

A najpierw zdumiewać się trzeba, że „mąż nauki“ może na seryo dopytywać się o Stwórcę dla Stwórcy. A cóżby to był za Stwórca, któryby potrzebował nowego Stwórcy! Pojęcie Boga-Stwórcy według filozofii chrześcijańskiej to pojęcie istoty, która ma racyę bytu sama w sobie, a tem samem wiecznie i od kogokolwiek niezależnie istnieje i istnieć może. Natomiast materya ze swemi ograniczonemi własnościami i doskonałościami niema w sobie racyi ani ruchu, ani istnienia i dlatego mogła powstać tylko przez akt stwórczy Tego, który będąc Stwórcą. już od nikogo pochodzić nie może. W kwestyi małpoluda jawańskiego możemy poprzestać na uwadze, że więksi od Plötza, a w każdym razie nie mniejsi antropologowie, jak Kollmann, Kramberger, a nawet Schwalbe są tego samego zdania, co Wasmann.

Po pięciominutowej przerwie przyszedł do słowa dziesiąty oponent Dr. *Schmidt* z Jeny. Jako długoletni asystent Haeckla a obecnie jeneralny sekretarz związku monistów czuje się w obowiązku dać pewne wyjaśnienia co do niektórych punktów nauki Haeckla, fałszywie przez Wasmanna przedstawionych. I tak odeprzeć musi zarzut, jakoby Haeckel od lat 40 konsekwentnie mieszał teoryę ewolucyi z darwinizmem, bo raczej coś wręcz przeciwnego wynika z jego „Generelle Morfologie“. Nie jest też zgodnem z prawdą, jakoby Haeckel układanym przez się drzewom genealogicznym człowieka przypisywał pewność dogmatyczną. wartość historyczną, bo w rzeczywistości uważa je tylko za próby i hypotezy mniej lub więcej prawdopodobne. Trzeci punkt wymagający sprostowania—to prawo biogenetyczne, które Wasmann wyłożył faszywie o tyle, że pominął pewne zastrzeżenia, poczynione przez Haecla przy tem prawie. W dalszym ciągu wygłasza Schmidt swoje zapatrywanie na stosunek teoryi ewolucyi do teizmu i monizmu. Jest zdania, że ewolucyonizm biologiczny nie jest ani teistyczny ani monistyczny; jeżeli zaś dla Wasmanna stanowi teizm podstawę dla nauki ewolucyjnej, to dla monistów jest pogląd na świat monistyczny wnioskiem z teoryi ewolucyjnej, który przyrodnicy mogą ale nie muszą wyprowadzać.

W końcu przypomniawszy, co już niektórzy poprzedni mowcy podnosili, o rozsypywaniu się skały poglądu chrześcijańskiego, powiada, że przykładem w tym względzie może być sam Wassmann, którego teizm silnie został podminowany przez naukę ewolucyi. Teizm bowiem domaga się ciągłego wkraczania Stwórcy w bieg świata. Tymczasem Wasmann przyjmuje interwencyę Stwórcy tylko trzy razy, a nawet gotów zadowolić się jednorazową, czyli innemi słowy skłania się do deizmu, we-

*

dług którego Bóg raz urządziwszy i puściwszy w ruch maszynę wszechświata, więcej się o nią nie troszczy. Że zaś niedaleko deizmu jest panteizm, więc potrzeba tylko jednego kroku, a Wassmann stanie w jednym rzędzie z Haecklem.

W odpowiedzi na wywody Schmidta musimy przedewszystkiem do jego wstępnych sprostowań zauważyć, że w Haecklu tkwią dwie osoby: poważnego przyrodnika i fanatycznego proroka darwinizmu. Jako przyrodnik w dziełach naukowych wyraża się oględniej: robi czasem rozróżnienie między ewolucyonizmem a darwinizmem, drzewom rodowym przyznaje wartość hypotezy, prawo biogenetyczne podaje z pewnemi zastrzeżeniami, ale kiedy występuje jako prorok darwinizmu w pismach popularnych, nie zna żadnych ograniczeń, żadnych zastrzeżeń, głosi śmiało pochodzenie człowieka od zwierząt i wyciąga najdalej idące wnioski. Jeżeli tedy Wassmann zwrócił uwagę na tę drugą naturę Haeckla, to chyba przez to nauki jego nie sfałszował.

Prędzej już możnaby wykazać fałsz Schmidtowi w przedstawieniu teizmu wogóle i teizmu Wasmanna w szczególności. Nie przeczymy, że teizm można uważać za podstawę ewolucyi — w porządku ontologicznym, o ile świat zdolny do rozwoju musiał mieć początek w akcie stwórczym Boga, ale można także uważać teizm, więcej nawet niż monizm, za wynik ewolucyonizmu, o ile w porządku logicznym z istnienia ewolucyi trzeba wnioskować o istnieniu praw rozwojowych, a w dalszym ciągu o ich przyczynie mądrej i wszechmocnej. Że zaś teizm Wasmanna nie ma nic wspólnego ani z deizmem ani z panteizmem, to okazuje się z należytego zrozumienia tych pojęć. I tak teizm — to nauka przyjmująca jednego nieskończenie doskonałego Boga, który stworzył świat, poddał go prawom naturalnym i w działanie tych praw dowolnie nie wkracza — chyba wyjątkowo dla celów porządku wyższego, nadprzyrodzonego — a tylko z powodu ciągłej zależności bytu stworzonego i skończonego od niestworzonego i nieskończonego ustawicznie obecny jest w stworzeniach i czynny przez utrzymywanie i współdziałanie. Istotę znowu deizmu stanowi zaprzeczanie porządku nadprzyrodzonego a uznawanie tylko przyrodzonego z wykluczeniem jednak zachowywania i współdziałania Bożego. Z teizmem ma deizm tylko to wspólne, że przyjmuje istotną różnicę między Bogiem a światem. Jeszcze dalej idzie panteizm, bo przeczy istotnej różnicy między Bogiem a światem. Ma różne odcienie, a jednym z nich jest zapatrywanie Haeckla, które zowie się panteistycznem, a jest ateistycznem. Przy tak wielkiej różnicy między teizmem,

deizmem i panteizmem nie uchodzi żadną miarą mówić o zbliżeniu się Wasmanna do Haeckla.

Ostatnim oponentem był Dr. *Thesing*, docent zoologii w Uranii berl. W przeciwieństwie do poprzednich mowców zgadza się w wielu punktach z Wasmannem, jak np. w zapatrywaniu na wartość teoryi doboru naturalnego, w przyjęciu polifiletycznego rozwoju, a po części i co do witalizmu. Natomiast nie może się zgodzić, by było rzeczą konieczną przyjmować stworzenie materyi: bo w ten sposób powstaje tylko nowa wątpliwość: a czemże jest ten Bóg Stwórca: punktem, niczem, czy czemś? Wyobraźni brak tutaj punktu oparcia. Nie podobna także zrozumieć, dlaczego od Stwórcy, który ma być nieskończenie doskonałym, pochodzi świat tak niedoskonały. Nie widać wreszcie racyi, dlaczegoby na wytłómaczenie początku życia należało uciekać się do aktu stwórczego. Choćby bowiem samorodztwo nie istniało, to są jeszcze w tym względzie inne teorye możebne, by wspomnieć np. teoryę o wieczności życia na świecie.

Co dopiero mówiliśmy, że według teizmu Bóg nie jest ani punktem, ani niczem, ani czemś pod zmysły podpadającem, lecz jest szczerym duchem, który mocą swej nieskończonej doskonałości wszędzie jest obecnym. Żądać, byśmy sobie musieli wyobrazić tego Boga, chcąc o nim myśleć, jest nieuzasadnionym antropomorfizmem. Trudność pogodzenia doskonałości Boga z niedoskonałością świata może istnieć dla monizmu, który utożsamia Boga ze światem, ale nie dla teizmu, według którego świat jest dziełem Boga, a tem samem jako byt stworzony i skończony jest czemś niedoskonałem. Co się tyczy teoryi o wieczności życia w świecie — to pomijając inne trudności, możemy postawić taki dylemat: albo życie należy do istoty materyi, a w takim razie trudno zrozumieć, dlaczego nie wszystkie jestestwa materyalne są żyjące; albo nie należy, a w takim razie musiał ktoś — w czasie lub w wieczności — obdarzyć materyę kosmiczną życiem.

Po Thesingu zabrał głos *Wasmann*, aby choć po krótce odpowiedzieć na liczne zarzuty oponentów. Wiemy już, co sądzić o tych zarzutach; dlatego możemy obecnie poprzestać na przytoczeniu choćby niektórych myśli z półgodzinnej mowy Wasmanna. Przedewszystkiem zaznacza on z żalem, że nie wszyscy mowcy zastósowali się do życzenia przewodniczącego, aby dyskusya była rzeczowa, a — co smutniejsza — wciągnęli do niej kwestye wyznaniowe. Wobec tego musi oświadczyć, że nie przyszedł tutaj jako przedstawiciel Kościoła lub zakonu Jezuitów z wykładami teologii, lecz jako E. Wasmann, jako zoolog, aby wygłosić odczyty o teoryi ewolucyjnej i jej stosunku do chrześcijańskiego

poglądu na świat. Dlatego nie myśli odpowiadać na to, co tu mówiono o indeksie, o spaleniu Giordana Bruno itp.

Wbrew zapatrywaniu Platego cieszy się z posiadania dwóch natur: teologa i przyrodnika, bo obaj z wielkim dla siebie pożytkiem mogą się wzajem kontrolować. „Teolog ma wprawdzie w zagadnieniach wyższych głos pierwszy, ale dobrze jest, jeżeli ma obok siebie przyrodnika, który go chroni od błędnych zapatrywań w kwestyach przyrodniczych. Lecz i dla przyrodnika korzyść jest wielka, jeżeli ma obok siebie teologa, gdyż ten zazwyczaj jest dobrym filozofem, a znajomość filozofii jest niezbędnie potrzebna przyrodnikowi“.

W dalszym ciągu swej mowy rozbiera Wasmann dość szczegółowo inne zarzuty Platego, a na ostatni z nich, jakoby był w niewoli dogmatu, jakoby nie posiadał wolności tak potrzebnej badaczowi przyrody, odpowiada, że mimo wszystko czuje się w posiadaniu wspomnianej wolności. Jeżeli zaś pisma swoje poddaje cenzurze, to wychodzi z tej zasady, że cztery oczy widzą lepiej niż dwoje; i nieraz już taka cenzura uchroniła go od drukowania rzeczy mniej wartościowych. Nie widzi też racyi, dlaczego miałaby cierpieć wolność myśli, gdy się poznanie w dziedzinie niższej podporządkowuje poznaniu w dziedzinie wyższej.

Omówiwszy następnie spokojnie i naukowo główniejsze zarzuty innych oponentów, W. kończy oświadczeniem, które złożył już na wstępie, że przybył do Berlina nie po to, żeby wzniecać walkę, lecz żeby dać rzeczowe wyjaśnienie sprawy.

Po uwzględnieniu wszystkich uwag pro et contra, jako ostateczny wynik dysputy berlińskiej możemy podać to, co podał sam Wasmann w swej broszurze [1]): Żaden z oponentów nie zdołał mu wykazać jakiejś nieznajomości lub błędów w dziedzinie faktów przyrodniczych i filozoficznych wniosków. Część oponentów, zamiast trzymać się tematu, wolała w imię „wolnej nauki“ „rzucać się na Kościół katolicki“. Wobec takiego stanu rzeczy dyskusya berl. dostarczyła tylko nowego dowodu, że przyrodnicze i filozoficzne poglądy chrześcijańskiego uczonego na ewolucyonizm nie pozostawają wcale w sprzeczności z zasadami prawdziwie wolnego badania. Wprost przeciwnie ocenia wynik dysputy główny oponent Plate w swojem sprawozdaniu [2]) i dziwić się bardzo temu nie można, bo wiadomo, że w takich razach

[1]) E. Wasmann. Der Kampf um das Entwickelungsproblem in Berlin. str. 154.

[2]) Plate: Ultram. Weltanschauung.. Schlussbetrachtungen str. 135—146.

jedna i druga strona zwykła sobie przypisywać zwycięstwo Kto jednak bezstronnie sądzić zechce, ten z pewnością stanie po stronie Wasmanna. *Ks. dr. A. Macko.*

Przemowa proboszcza na zakończenie Misyi św. w parafii.

„Żaden, który rękę swą przyłożył do pługa, a ogląda się nazad, nie jest sposobny do Królestwa Bożego. Łuk. 9. 62.

Ewangelia św. opowiada, że wiele ludzi, usłyszawszy przecudowną świętą naukę P. Jezusa, byli nią tak bardzo poruszeni, że postanowili nie tylko zmienić zupełnie dotychczasowe swoje życie, ale chcieli zostać przy Jezusie na zawsze. Prosząc zaś Jezusa, aby ich raczył przyjąć w poczet Swoich uczniów, mówili: „Pójdziemy za Tobą, gdzie jeno pójdziesz, tylko pozwól nam wrócić się jeszcze do domu, abyśmy mogli wykończyć i załatwić wszystkie sprawy nasze“. (Łuk. 9, 57—60). Pan Jezus rzekł im jednak te słowa, które na wstępie przytoczyłem: *„Żaden, który rękę swą przyłożył do pługa, a ogląda się nazad, nie jest sposobny do Królestwa Bożego“*. Coś podobnego dzieje się teraz tu w tym kościele i w tej parafii naszej. Słysząc nauki misyjne i czując w sercu błogi i prawdziwie niebiański pokój, jakim Pan Jezus raczył napełnić wasze dusze po odprawionej spowiedzi św., wiem, że przyrzekliście wszyscy nie opuszczać już więcej Pana Jezusa—przyrzeczenie to składaliście przecież wszyscy publicznie w ręce czcigodnych Ojców Misyonarzy! Obawiam się jednak, że może niejeden z was zechce po tej misyi św. wrócić znowu do dawnych towarzystw i do dawnych okazyi do grzechu pod pozorem, że wypada wam rozmówić się jeszcze i pożegnać z tą czy ową osobą, że trzeba tę czy ową rzecz załatwić, wchodząc zaś w to dawne towarzystwo i mieszając się w dawne sprawy, obawiam się, że moglibyście na nowo uwikłać się w dawne pokusy i... upaść! — dlatego wstępuję na tę mownicę i w imię tego Pana Jezusa, którego wam tu zastępuję, wołam do was Jego słowami: *„Żaden, który rękę swą przyłożył do pługa, a ogląda się nazad, nie jest sposobny do Królestwa Bożego!“* Przyłożyliście się w czasie tej św. Misyi do do pracy nad sobą i wyrwaliście, jak się spodziewam, wszystkie chwasty i osty grzechów z roli serc waszych — nie oglądajcież się teraz za nimi, nie wracajcie się nazad! — niech was to już nic a nic nie obchodzi, co się stanie z ową osobą lub z ową sprawą, bo pamiętajcie: *„Kto się ogląda nazad, nie jest sposobny do Królestwa niebieskiego!“* Każdy z was musi teraz tak postąpić, jak pewna niewiasta, wielka grzesznica, o której wiem z ust jednego kapłana. Przechodząc razu jednego koło kościoła, do którego mnóstwo ludzi się cisnęło, zdjęta ciekawością, weszła i ona razem z innymi. W kościele było kazanie o niewypowiedzianem miłosierdziu Pana Boga względem grze-

szników! „Słuchacze kochani!—wołał kapłan na tem kazaniu— Bóg jest tak miłosierny, że gotów jest przebaczyć każdemu grzesznikowi, choćby i najcięższe i nie wiem jak liczne miał grzechy, byleby tylko szczerze za nie żałował i nie chciał ich ponawiać!“ Słowa te utkwiły głęboko w sercu owej niewiasty i brzmiały ciągle w jej uszach! Nie mogąc sobie dać rady, poszła ona po skończonem kazaniu za kapłanem do zakrystyi i z przedziwną szczerością, całując kapłana w rękę, pyta go: Ojcze duchowny, czy to jest pewnem, że P. Bóg jest miłosierny dla każdego grzesznika? — Nic pewniejszego — odpowiada na to kapłan, byleby tylko grzesznik żałował za swoje grzechy i nie wracał więcej do nich. — Ale bo to są rozmaici grzesznicy — powiada dalej owa niewiasta — więc mnie się o to rozchodzi, czy P. Bóg gotów jest odpuścić grzechy wszystkim grzesznikom bez wyjątku. — Najniezawodniej! — rzecze na to kapłan. — Pan Bóg nie robi żadnego wyjątku i wszystkim, wszystkim grzesznikom bez wyjątku gotów jest przebaczyć! — A więc i mnie?—ciągnie dalej niewiasta—i mnie byłby P. Bóg gotów przebaczyć? Bo ja już 15 lat nie spowiadałam się, a mam bardzo liczne i bardzo ciężkie grzechy! — I tobie także! — odpowiada kapłan — bylebyś się tylko wyspowiadała i porzuciła wszystkie okazye do grzechu i nigdy więcej do nich nie wracała! — Jeźli tak, mówi na to uszczęśliwiona niewiasta, to ja się wyspowiadam i poprawię; powiedz mi tylko ojcze, kiedy będziesz mię mógł wyspowiadać? — Mogę i zaraz, odrzekł na to kapłan, ale przygotuj się pierwej do spowiedzi, ja tu za chwilę przyjdę. Rzeczywiście! po chwili klęczała już owa niewiasta u stóp konfesyonału i ze łzami wyznawała swoje grzechy. Odchodząc od konfesyonału, powiedziała do kapłana: „Nie wrócę ja już do domu, bobym tam niechybnie upadła znowu“. I w rzeczy samej nie wróciła! Wszyscy ludzie poszli już do domu, bo było to wieczorem, a ona sama została w kościele, modląc się przed obrazem Matki Bożej. Przyszedł kościelny z kluczami, aby kościół zamknąć i próbował ją wyprowadzić z kościoła, ale ona prosi go i mówi: Nie wyrzucaj mnie ztąd, bo ja nie mogę wrócić do domu. Kościelny zawołał księdza i ksiądz namawiał ją, aby poszła do domu, ale ona odpowiada: „Nie! ja nie mogę wrócić do domu, bobym niechybnie upadła na nowo!“ Wzięto ją za waryatkę i zostawiono w kościele. I co się stało? Znaleziono ją nazajutrz leżącą krzyżem przed obrazem Matki Boskiej, ale już nieżywą! Drodzy moi! Oto macie przykład i naukę, jakeście się powinni zachować po tej Misyi św.! Chcąc wytrwać przy Jezusie, musicie sobie powiedzieć, jako owa niewiasta: „Nie mogę już wracać do tego domu, ani do tej osoby, ani do tej służby, ani do tego zajęcia, które mi były okazyą do grzechu, bobym niechybnie upadł, upadła na nowo!“ I kto tego sobie nie powie i tego nie uczyni, niechaj pamięta, że z tej Misyi św. niewiele, a może i żadnej nie odniesie korzyści, bo sam P. Jezus przecie to powiedział, że *wszelki, który ręke swą przyłożył do pługa, a ogląda się nazad, nie jest sposobny do Królestwa Bożego.*

Żeby jednak, według wyrażenia P. Jezusa, „nie oglądać się nazad“, trzeba na to mocy i siły! W samych sobie nie znajdziecie ich! Wskażę wam więc jeszcze źródło, z którego tę móc i siłę czerpać będziecie mogli. Tem źródłem to najpierw modlitwa, ale modlitwa szczera i gorąca! modlitwa wytrwała! Modlitwa tem jest dla duszy i serca naszego, czem jest rosa dla kwiatków i zbóż na polach naszych! Rosa daje siłę i wzrost roślinom, a modlitwa daje siłę i moc duszom naszym! Modlitwa to broń, to oręż, którym zwalczyć będziemy mogli najzaciętszego wroga! Modlitwa, to jakby wołanie na gwałt, aby nam Bóg na pomoc z łaską Swoją przybyć raczył! Dlatego wołam do was, ukochane owieczki moje: Módlcie się, módlcie się teraz po tej św. Misyi jak najwięcej! — módlcie się szczególniej we wszystkich pokusach, a P. Bóg dopomoże wam do wytrwania w waszych św. postanowieniach!

Źródłem, z którego czerpać będziecie mogli moc i siłę do porzucenia wszelkiej okazyi do złego, to słowo Boże, kazania i nauki katechizmowe! Jaką siłę i moc posiada słowo Boże, toście się przekonali teraz właśnie, w czasie tej Misyi św.! Czemże to bowiem stało się, żeście przejrzeli, żeście się nawrócili do Boga, żeście się z Bogiem pojednali i z Bogiem żyć postanowili? Sprawiło to wszystko to słowo Boże, które wam z takiem poświęceniem głosili czcigodni i świątobliwi Ojcowie Misyonarze! I później! i zawsze! działać tak będzie na was to słowo Boże, bo ono zawsze jest i będzie słowem *Bożem*, a więc potężnem i wszechmocnem! Uczęszczajcie przeto pilnie do kościoła i z wielką uwagą słuchajcie zawsze kazań i nauk, a wytrwacie, da Bóg, w dobrych postanowieniach waszych i staniecie się *„sposobnymi do Królestwa Bożego“*.

Źródłem, z którego czerpać będziecie mogli moc i siłę do wytrwania w dobrem, są nakoniec Sakramenta św., mianowicie: spowiedź i komunia św. Na spowiedzi św. wyrzuca się z duszy grzech, który nas oddaje w moc czartowską, w komunii św. zaś przyjmuje się samego Pana Jezusa Św. Paweł, apostoł, po mszy św. i po komunii św., którą w czasie tej najśw. ofiary przyjmował, zwykł był wołać w uniesieniu: *„Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia, Chrystus“* (do Filip. 4, 13.) — mogę zwyciężyć wszystkie pokusy, mogę nie jeść dnie całe, mogę cierpieć.... *wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia*, a nic mi nie szkodzi i wszystko wyjdzie mi na zbawienie! I wy, najmilsi! wszystko będziecie mogli, będziecie mogli *„nie oglądać się nazad“* i będziecie mogli wytrwać w dobrem aż do śmierci i będziecie się mogli zbawić, jeźli Jezusa często w komunii św przyjmować będziecie! Postanówcie sobie przeto często, a już przynajmniej co dwa miesiące spowiadać się, a po każdej spowiedzi po kilkakroć przystępować do komunii św, a da to Bóg, że staniecie się *„sposobnymi do Królestwa Bożego!“*

Na tem mógłbym już i chciałbym zakończyć moją w tej uroczystej chwili do was przemowę. Lecz nie wolno mi tu przemilczeć o jednej rzeczy! Kilkadziesiąt osób z tej parafii, zdrowych Bogu dzięki i czasowych, nie brało wcale udziału w tych św.

ćwiczeniach duchowych! Co to za ludzie? To ci, co pierwsi tu stanąć powinni! To ci, którzy od dawna już sieją niewiarę i niezgodę w naszej parafii, to ci, co największą krzywdę wyrządzali Sercu Boskiemu swojem gorszącem życiem! Niepodobna wymieniać mi ich po nazwisku! Wy znacie ich dobrze i wiecie, którzy to są! Zdradzili się sami, jakiego są ducha i komu służą! Otóż ostrzegam was przed nimi! Jeżli chcecie wytrwać przy Chrystusie, to uciekajcie od nich i nie wdawajcie się z nimi! Co ma robić kąkol między pszenicą? Oddzielili się sami od was! Nie przyłączyli się do was w tej tak ważnej i uroczystej chwili! Po co wy mielibyście się łączyć z nimi? Zostawcie ich na boku; niech służą dalej djabłu i światu! Niech ranią i zabijają dalej i krzyżują P. Jezusa i... niech patrzą końca! Wzgardzili Jezusem i Jego łaską, z którą tu do nas w osobie tych czcigodnych XX. Misyonarzy przybył, niech więc bez Niego się obchodzą! Zobaczymy, jak wyjdą na tem! Może choć to usunięcie się wasze, dobre owieczki moje i Jezusowe, przywiedzie ich do upamiętania! O! bo nie śmierci ich, nie potępienia ich, ale zbawienia ich pragnę! I jeżli chcę tego i to wam zalecam, abyście się z nimi nie wdawali, to dlatego, aby weszli w siebie, aby się nawrócili jeszcze! Jak w czasie całej Misyi św., tak tem bardziej teraz modlę się za nimi, aby się upamiętali, aby wrócili do Jezusa, aby się stali z nami jedno, jako my wszyscy teraz z Jezusem naszym kochanym jedno jesteśmy!

Ale czas mi już skończyć! Zwracam się tylko jeszcze do was, czcigodni i przezacni Ojcowie Misyonarze, aby wam publicznie w imieniu swojem i w imieniu tych moich ukochanych owieczek podziękować za trudy i znoje wasze, którymi ziemię naszą skropiliście. Niech Bóg zapłaci najpierw Tobie, przezacny księże Superiorze, tej św. Misyi rządco i przewodniku, dla którego sam wiek sędziwy, znękany trudami, wdzięczność i szacunek nakazuje! Przepłaciłeś tę ciężką Twoją tutaj pracę własnem zdrowiem i wycieńczeniem sił — niech Ci Bóg to zapłaci, bo my nie jesteśmy w stanie! „Bóg zapłać“ i wam, czcigodni Kapłani, nieodstępni tej św. Misyi towarzysze i pracownicy! Imieniem wszystkich dusz, nawróconych Waszą pracą do Boga i uszczęśliwionych łaską Bożą, dziękuję Wam za Wasze trudy i poświęcenie, i przepraszam Was zarazem za wszystkie przykrości, jakich tu może z jakiegokolwiek powodu doznaliście! Zapewniam Was przytem, że jako w księdze żywota, tak i w naszych sercach zapisane zostaną na zawsze imiona, przestrogi i nauki Wasze, a w modlitwach naszych o Was nigdy nie zapomnimy! Żegnając was, polecamy się waszemu sercu i waszej pamięci w modlitwach u stóp ołtarza, aby to ziarno słowa Bożego, któreście w imię Jezusa zasiać raczyli na niwie serc naszych, przyniosło stokrotny owoc dla chwały Boga w Trójcy naszego i na pożytek dusz naszych. Amen.

Ks. Albin, proboszcz w Chełmie.

Czy kapłan ma robić testament?

Do napisania paru uwag w tej sprawie skłania mię artykuł, zamieszczony w Dwutygodniku katechetycznym z r. 1908 Nr. 5 str. 171 i t. d. p. t. „Przy śmierci kapłana“. Czytamy tam: „W dyecezyi tarnowskiej istnieje przepis, żeby każdy ksiądz, a szczególniej proboszcz, złożył w urzędzie dziekańskim swój testament zapieczętowany“.

Ten sam przepis istnieje i w dyecezyi krakowskiej, więc wynikałoby stąd, że kapłani powinni się doń zastósować Przepis ten jednak został na papierze dlatego tylko, że rozporządzanie majątkiem, a więc i testament, który jest ostatniem tegoż rozporządzeniem, należą do wolnej woli kapłana.

Na pewnej kongregacyi dekanalnej omawiano tę sprawę i jeden z proboszczów, chcąc nam dać dobry przykład, złożył do rąk dziekana zapieczętowaną kopertę, zawierającą jego testament. Na to rzekłem: „Niech się kochany ks proboszcz i Kondekanalni nie obrażą, ale w tej zapieczetowanej kopercie może być tak dobrze testament, jak też i kawałek starej gazety“.

Pozostaje tedy druga ewentualność, by kapłani składali do rąk dziekana otwarty testament. Przepis taki krępowałby aż nadto wolną wolę kapłanów, a w skutkach byłby również wątpliwy. Bo kapłan może dziś złożyć dziekanowi otwarty testament, a nazajutrz napisze inny i poprzedni już nie ma znaczenia. Te okoliczności wpłynęły widać na nasze władze duchowne, że przepisu o testamentach dziś ściśle nie przeprowadzają, skoro w praktyce jest on niewykonalny.

Przepis o testamentach nie może mieć tego na oku, by „fiskus“ nie korzystał zanadto z majątku po kapłanach pozostałego. Według obowiązujących dziś ustaw[1]) z majątku pozostałego po proboszczu zmarłym bez testamentu bierze „fiskus“ 10%, krewni 30%, ubodzy parafii 30%, a kościół parafialny 30%. Więc w każdym razie 60% idzie na cele dobre, publiczne, bo kościół i ubogich musimy chyba w poczet celów publicznych zaliczyć.

Będąc sam kapłanem lat 20, a mając wprzód styczność z duchowieństwem jeszcze jako kleryk i student, powiem z doświadczenia, iż lepiejby w ogóle było, gdyby kapłani, za mej pamięci zmarli, byli zeszli z tego świata bez testamentu Wtedy bowiem byłoby 60% ich majątku przeszło na cele publiczne, a tak co się stało? Całe prawie ich majątki przeszły na krewnych lub domowników, którzy, jak się słusznie ks. Albin wyraża, są „inimici“ proboszcza. Prawda, że proboszcz ma kochać nawet i nieprzyjaciół, że nawet im może majątek zapisać, ale doświadczenie wykazuje, że ci „inimici“ z odziedziczonego majątku robią zwykle zły użytek, ani moralnie ani materyalnie przez to się nie podnoszą, lecz upadają. Tak się zwykle dzieje, a do wyjątków należy, gdy majątek po proboszczu wyjdzie na dobre familii lub domownikom. „Lekko przyszło, lekko poszło“ powia-

---

[1]) Dekret nadworny 18 lipca 1772; ust. z d. 9 lutego 1850 l. 50 P. T. B. d.

*

da przysłowie i na familiach kapłanów z dziwną konsekwencyą ono się spełnia.

Obowiązkiem proboszcza jest: użyć znaczną część majątku na cele publiczne, a nie na zbogacenie familii. Wszak większość księży dobija się swego stanowiska przy skromnej pomocy rodziców, więc przeważnie o własnych siłach. Gdy przyszły kapłan chodzi do gimnazyum, to go mało kto zna, nikt zwykle prócz rodziców nie poda mu bochenka chleba, kwarty masła, ani paru groszy. Dopiero gdy w swej rodzinnej wiosce obchodzi prymicye, zaraz jak z pod ziemi wyrastają ciotki, wujki, stryjki, siostrzeńcy, bratańcy, siostrzenice, bratanice i t. d., i t. d. I każdy z nich powiada: „A dyć ja twój krewny, to mię nie znasz?“ i każdy, choć księdzu w czasie nauk nieraz i centem nie dopomógł, powtarza sobie z radością przysłowie: „Kto ma księdza w rodzie, temu bieda nie dobodzie!“

Jeżli proboszcz ma majątek patrymonialny, to bez żadnych zastrzeżeń może go krewnym zapisać, ale jeżli majątek zrobił na parafii, to ta parafia słusznie woła na niego: „Redde“!

Postawię tedy sprawę tak, że proboszcz z majątku na parafii zebranego ma przedewszystkiem zabezpieczyć utrzymanie skromne swym rodzicom, jeżli ci są rzeczywiście ubogimi, lub skromną pomoc ubogim, krewnym, czy swoim dobrodziejom, jeżli ci wsparcia potrzebują. Poza tem ma majątek zapisać na cele dobroczynne. W tym zaś wypadku, czy zostawi testament lub nie, to już dla fiskusa jest rzeczą obojętną, bo on i tak bierze jedno i to samo t. j. 10% opłaty od darowizn. Gdyby n. p. ksiądz cały majątek zapisał na szpital, to fiskus i tak weźmie 10%.

Powiedziałem powyżej, że lepiejby na ogół było, żeby kapłani nie robili testamentu. Poprę rzecz przykładami: Około r. 1889 umarł proboszcz w Tymbarku i nie zostawił testamentu. Zapytajmy dziś tamtejszych parafian, czy lepiejby było, gdyby testament zostawił?

W niedawnym czasie umarł na probostwie w dyecezyi krakowskiej proboszcz staruszek. Nie chcę wymieniać, gdzie to było, ale testament zostawił. Wiedziano o nim, że posiada, jak na na proboszcza, gruby majątek i spodziewano się, że lwią część tegoż zapisze na cele publiczne. A tymczasem, gdy otwarto testament, skonstatowano, iż był on najlegalniej zrobiony i że całkiem prawomocnie majątek jego odziedziczyły dwie stare baby; jako legat za swą duszę przeznaczył tylko 100 reńskich! Czyż nie lepiejby było, gdyby zmarł bez testamentu?

W innej znów parafii był proboszcz, zbierający grosz lecz nie dbający ani o kościół ani o budynki plebańskie, choć był tam przez lat 20. Parafianie chcieli kościół stawiać i prosili go, by się do tej sprawy zabrał, on im jednak tłómaczył: „Dajcie temu spokój, jak umrę, to wam zapiszę znaczne pieniądze na kościół.“ I umarł, lecz wprzód część parafian wystawiła sobie osobny kościół, gdzie wnet będzie osobny kapłan, zaś kościół parafialny, stary, drewniany, starostwo zamknęło, bo groził zawaleniem. Testamentu po nieboszczyku nie znaleziono, więc

chwalili go konfratrzy: „Przynajmniej (mówili) to jedno dobrze zrobił i tem niejednę winę zmaże.“ Cieszyli się parafianie, że dostaną około 10.000 złr. na kościół, drugie tyle na ubogich i że za zezwoleniem władz będą mogli obu tych części użyć na budowę nowego kościoła. Tymczasem nie minął rok, a następny proboszcz znalazł w starych aktach testament, którym nieboszczyk zapisuje wszystko swej mamie, liczącej przeszło 80 lat! Czyż nie lepiejby było, by taki testament nie istniał?! Nowy proboszcz nie chciał w tej sprawie samowolnie postąpić; radzi się swej władzy, a ta nakazuje mu testament złożyć w sądzie. Gdybym ja testament ten znalazł, tobym go odrazu w ogień rzucił, bo mamie tej byłoby również wystarczyło do śmierci 10.000 złr., a przypuszczam, że o zniszczenie tego testamentu aniby mię Bóg na sądzie nie zapytał! Znowu nie piszę, gdzie to było, ale ktoby chciał sam sprawdzić, mogę mu listownie wymienić dotyczące miejscowości.

Takich wypadków znalazłoby się więcej, lecz dajmy spokój umarłym, a za to zwróćmy się do żyjących kapłanów. W Dziejach Apostolskich nie czytamy nigdzie o legatach, testamentach i t p., lecz czytamy tam: *„A mnóstwa wierzących było serce jedno i dusza: ani żaden z nich to, co miał, swem nazywał: ale było im wszystko wspólne.“* Act. Ap. IV. 32.

Czyż dzisiaj niema tych potrzeb, którym kapłan powinien przyjść z pomocą? Czyż za naszego życia braknie ubogich? Czyż braknie tylu szlachetnych celów, abyśmy nie wiedzieli, co z groszem zrobić, tylko aż przy śmierci mieli się o to troszczyć?! Czyż przez swe życie na to mamy grosz zbierać, by potem kłopotać się, komu go zapisać, jak zrobić testament, kogo uczynić dziedzicem uniwersalnym, kogo wykonawcą testamentu i t p...? Na co sobie obciążać chwile ostatnie temi pytaniami? Lepiej nam za życia rozdawać[1]).

Powie może ktoś, że dobrze jest odłożyć coś na „czarną godzinę.“ Znam ja kapłanów, którzy na tę czarną godzinę składali, lecz gdy ona przyszła, nawet i wtedy brakło im ochoty grosz wydać na lepsze lekarstwa, na lekarza, kąpiele i t. p. Zaś czarna godzina przyszła, przeszła, a grosz pozostał. Cóż nam wreszcie pomoże nasza zapobiegliwość, gdy Pan Bóg na sąd zawoła?

---

[1]) Przy sposobności przypominamy, że przedewszystkiem biblioteczkę swoją powinien ksiądz za życia ustnie podarować seminaryum duchownemu lub stowarzyszeniu bibliotek chrześć. (zob. *Dwutyg. katech.* n 4 str. 126) i pozwolić na bezzwłoczne opieczętowanie i zinwentaryzowanie książek, a nawet ofiarować coś ciepłą ręką na ich przewiezienie, zastrzegając sobie jednak wypożyczenie ich bezpłatne do śmierci. W ten sposób uniknie się opłat 10%wych i zapobiegnie się zmarnowaniu dzieł nieraz cennych — przeciwnie zapis w testamencie mógłby mieć ten skutek, że obdarzony zrzeknie się książek! Co lepsze dzieła bowiem giną zwykle przed otaksowaniem sądowem, a za wybiórki nie warto płacić taksy i ponosić kosztów przewożenia. Sąd sprzedaje potem księgozbiór na licytacyi, a społeczeństwo nie ma zeń najmniejszego pożytku. (Dop. Red.)

Obyśmy wtedy mogli zawołać z Apostołem: „*Argentum et aurum, aut vestem nullius concupivi, sicut ipsi scitis*“ albo z Jobem: „*Pater eram pauperum*“ XIX. 16.

Gdy miało nastąpić ostatnie podwyższenie kongruy kapłanom, mówię jednemu z księży posłów do parlamentu: „Starajcie się o podwyższenie kongruy, bo znaczna ilość księży dziś bieduje, emerytura nasza też jest za małą, by żyć, za dużą zaś, by umrzeć. Postawcie jednak hamulec przeciw zbieraniu majątków przez księży i ustanówcie taki n. p. paragraf: Każdy kapłan może swym majątkiem z wyjątkiem patrymonialnego tylko do kwoty 40 tysięcy koron na wypadek śmierci dowolnie rozporządzić; jeżli z nadwyżki nie przeznaczy przynajmniej połowy na cele publiczne, dobroczynne, to testament uważa się za nieważny i dzieli się pozostały majątek w myśl dotychczasowych ustaw.“ Na to powiada mi ów ks. poseł, że bardzo trudno byłoby przeprowadzić takie ograniczenie, bo byłoby ono wyjątkową ustawą, a my posłowie nie możemy takich ustaw przeprowadzać, gdyż wszelkie wyjątkowe ustawy... Ja mu na to: „Pozwoli ksiądz poseł, że przerwę. Jeżeli umrze człowiek świecki bez testamentu, to majątek jego przechodzi w całości na krewnych, a majątek proboszcza nie przechodzi w całości na krewnych, ale oni tylko otrzymują 30% a w razie gdy są bardzo ubogimi 60%. Więc dla kapłanów już istnieje wyjątkowa ustawa, a o jednę więcej to nam i tak nie zaszkodzi.“ Ks. poseł przyznał mi racyę, a ja też nie jestem zwolennikiem wyjątkowych ustaw, lecz sądzę, że byłoby dobrze położyć hamulec przeciw zbieraniu majątków przez księży. Wprawdzie na stu zmarłych kapłanów jeden może zostawi majątek, lecz taki wypadek „nieprzyjaciele“ nasi opisują i wyzyskują przeciw nam kapłanom i przeciw Kościołowi Chrystusowemu. Nie dajmy im do tego powodu, więc nie gromadźmy pieniędzy, a nie będziemy potrzebowali myśleć o testamentach. Czcigodnego zaś ks. Albina proszę, by się memi uwagami nie zraził i zapowiedziany artykuł o testamentach ogłosił, byśmy kapłani mieli dokładne w tym względzie instrukcye i mogli przynajmniej parafianom w tym wypadku dobrą radą posłużyć.[1])

Komorowice w kwietniu 1908.

Ks. Jozef Waligóra.

Kształcenie charakteru w szkole.

Zanik charakterów, to „główna wada narodowa polska“ w dobie obecnej, jak twierdzą jedni, to choroba ogólna Europy, jak wytykają drudzy, choroba mająca swe źródło w materyaliźmie, lekceważącym lub negującym wolną wolę człowieka, a niemniej także w systemie szkół bez- lub międzywyznaniowym, w zaniku religijności prawdziwej. Zamiast bezowocnych żalów *Foerster*, pedagog szwajcarski, wskazuje

środki, którymi szkoła mogłaby na seryo przyczynić się do wyrabiania dzielnych charakterów. Streszczę po krótce jego wywody[1]).

W r. XI. (1907) *Dwutygodnika katechetycz.* omówił ks dr. Szczeklik *„Jugendlehre“* Foerstera. Recenzya wydaje mi się jednostronną, wskazuje bowiem na wady i braki dzieła, nie podnosząc prawie wcale jego dodatnich stron i zalet, jak n. p. silnego zaakcentowania znaczenia i konieczności religii w wychowaniu. W tym samym roczniku *Dwutyg. katech.* ukazała się recenzya Foerstera, *„Sexualethik und Sexualpädagogik“* niepodpisanego krytyka, stanowiąca kontrast do zbyt pesymistycznych zapatrywań ks. prof. Szczeklika na naszego pedagoga. Krytyk objawia nawet życzenie, żeby książka „znalazła się w rękach każdego katechety a nawet każdego ucznia‘. Trzecie dzieło Foerstera w przeciągu niespełna całego roku wyszło już w czwartem wydaniu.

Jak z tytułu widać, dzieło to ma na celu przyczynić się do wyrobienia charakteru uczniów. Przez dyscyplinę szkolną rozumiej autor „całość środków, które zabezpieczają moralne warunki spokojne i skutecznej pracy szkolnej“. Autor zamierza wykazać, jak wielce charakter ucznia zależy od dyscypliny szkolnej i „jak głęboko szkoła właśnie przez metodę swojej dyscypliny porządku i pracy na moralny rozwój młodzieży — zbawiennie lub zabójczo — wpłynąć może“ (por. Słowo wstępne). We wstępie wykazuje autor, dlaczego szkoła w dzisiejszych właśnie czasach główny nacisk powinna położyć na wyrobienie moralne swych uczniów. W wieku wiedzy i techniki materyalizm w okropny sposób zawładnął duszami; zastraszająca niewiadomość: co dobre a co złe, panuje dokoła nas, a wiek elektryczności nie przypadkowo tylko wytworzył filozofię Nietschego: „Jenseits von Gut und Böse“. Temu kultowi materyi powinniśmy przeciwstawić „kulturę duszy i charakteru, bo w przeciwnym razie nasza potęga nad siłami natury stanie się tylko środkiem moralnego spustoszenia“ (str. 8). W tym też celu powinna szkoła dzisiejsza zamiast jednostronnego kształcenia rozumu, zwracać większą uwagę na kształcenie charakteru.

Trudno zaiste o jędrniejsze i bardziej przekonywujące wykazanie — z jednej strony niebezpieczeństw, jakie kryje w sobie jednostronne kształcenie samego tylko rozumu, a z drugiej strony korzyści, które wypływają z kształcenia charakteru, tak dla wiedzy, jak i dla praktycznej pracy zawodowej. „Uprzytomnijmy sobie jasno“ — woła Foerster — „że uwolnienie człowieka od jego namiętności, wzmocnienie jego woli i wyrobienie w nim sumienia, także dla najwyższej pracy samego ro-

[1]) *Schule und Charakter.* Beiträge zur Pädagogik des Gehorsams und zur Reform der Schuldisziplin von Dr. Fr. W. Foerster. Zürich 1907. 8⁰ str. 213.

zumu ma ogromne znaczenie! Prawdziwie logiczne myślenie supponuje charakter, bo tylko charakter strzeże nasze myśli od szkodliwych wpływów zewnętrznych, czy osobistych interesów i uprzedzeń" (str. 11). Tej kultury charakteru domaga się praca w samej szkole, jeźli ma być wydatna. Dużo wykroczeń przeciwko porządkowi, dużo zaniedbań w pracy dałoby się zamienić na zbawienne i przyjemne współdziałanie ucznia ze szkołą, gdyby element „duszpasterski wziął górę nad policyjnym" (str. 23). Szkoła bowiem jako taka sama przez się nie działa wychowawczo. Kryje ona dużo niebezpieczeństw moralnych dla poszczególnych jednostek, jak n. p zakorzenione kłamstwa i oszukaństwa szkolne, siła suggestyi masy, częstokroć zepsutej, na jednostkę i t. d. Autor omawia te poszczególne niebezpieczeństwa z głęboką znajomością rzeczy. Nadzwyczaj zajmujący jest zwłaszcza rozdział p. t. „Individuum und Masse" (str. 42—50). Kto zna stosunki szkolne, ten przyzna, jakie straszne spustoszenia w szkole może sprowadzić kilku złych i zorganizowanych uczniów[2]).

Tutaj omawia także autor kwestyę uświadamiania płciowego, kwestyę alkoholizmu w szkole, kwestyę wspólnego wychowania obydwóch płci[3]), system prewentywny Don Boski i podobny amerykański t. zw. Brownlee-System.

Następnie zastanawia się nad problemem, czy oddziaływanie szkoły na charakter ucznia ma się dokonywać zapomocą bezwzględnego autorytetu, czy też dyscyplinę szkolną oprzeć należy na wolniejszej podstawie. Skonstatowawszy fakt, że zasada bezwzględnego autorytetu w wychowaniu, jako przeważnie zewnętrzna tylko i opierająca się na motywie bojaźni, wydaje w praktyce jak najgorsze owoce, bo nie liczy się z pragnieniem wolności i samodzielności natury ludzkiej i że z drugiej stony dyscyplina i karność są niezbędnymi czynnikami wszelkiej wydatnej pracy, a zwłaszcza społecznej, — dochodzi do wniosku, że ideałem wychowania powinno być zniesienie sprzeczności między godnością czło-

[2]) Piszący był świadkiem, jak kilku „postępowych duchów" potrafiło prawie całe wyższe gimnazyum w przeciągu kilkunastu miesięcy pozbawić wiary. W poszczególnych klasach na 40 przeszło uczniów można było na palcach policzyć tych, którzy byli wierzącymi i praktykującymi katolikami. Niestety i ci. choć byli przeważnie celującymi uczniami i choć ich „postępowi" potrzebowali, zwłaszcza przy wypracowaniach piśmiennych, nie mieli odwagi cywilnej wystąpić w obronie moralności i wiary, bojąc się szykan ze strony kolegów, choć czasem mogliby to uczynić ze skutkiem

[3]) Pod tym jednym względem idzie Autor jeszcze zadaleko i nie może się otrząsnąć z dawnych swych poglądów. Wytrawni pedagogowie i mężowie stanu angielscy i amerykańscy, jak Cecil Rhodes i Teodor Roosevelt, na podstawie doświadczenia tamtejszego poszli drogą przeciwną i potępili koedukacyę. (D. R.).

wieka a posłuszeństwem, by w ten sposób przez posłuszeństwo i karność rozwinąć i ubezpieczyć osobistą wolność i energię woli, a w ten sposób i życie duchowe, jak się to dzieje właśnie w klasztorach, gdzie szkoła ciężkiej pracy i posłuszeństwa rozwija nadzwyczaj bogate wewnętrzne życie duszy (str. 82). *Dla społeczeństwa zaś „niema nic niebezpieczniejszego, jak gdy wśród ludzi szerzy się przekonanie, że karność i wolność, dyscyplina i godność człowieka stanowią niedające się pogodzić ze sobą kontrasty*“ (str. 73). O prawdzie tych słów przekonał się nasz naród.

Dobrowolne więc posłuszeństwo — to rozwiązanie trudnego problemu dyscypliny. To jednak da się osięgnąć tylko przez religię chrześcijańską, jak wykazują wieki prawdziwej wiary, kiedy było tyle wielkich, silnych i oryginalnych charakterów i dusz, podczas gdy charakterystycznemi chorobami ery racyonalizmu i naszego „indywidualizmu“ są: zanik charakteru i woli (str. 86). (Por. śliczny rozdział: Versöhnung von Gehorsam und Freiheit im Christentum, str. 115—122). Dlatego też indywidualizm w wychowaniu, pojęty w guście n. p. Ellen Key: „Stulecie dziecka“ (która niestety i u nas ma dużo zwolenników i propagatorów), należy stanowczo potępić i zwalczać. Miałby on wtedy tylko pewną racyę, gdyby życie było rajem a trudy i przykrości, jakie czekają dziecko po opuszczeniu szkoły, zamieniały się w konfitury (str. 96).

Słusznie też powołuje się autor na Stuarta Milla, który mówi: „Cieszę się z upadku starego, ty rańskiego sposobu nauczania, który jednak miał tę zaletę, że wymuszał pewne przyzwyczajenia... Nowy system wytwarza, jak się zdaje, generacyę ludzi, która nie zdoła jąć się energicznie żadnej rzeczy nieprzyjemnej“ (68).

Jeźli karność nie ma być policyjną, uczeń powinien poddawać się jej ze zrozumieniem i z pobudek głębszych, zwłaszcza reli_ijnych — powinien zrozumieć przedewszystkiem, że *karność wychowuje do wolności.* Na czemże bowiem polega wolność wewnętrzna, jeźli nie na stałem panowaniu duszy nad zmysłową naturą, osobowości nad indywidualizmem? Nie darmo Chrystus Pan przypomina ziarnko pszenicy, które musi pierwej obumrzeć, zanim nową wyda roślinę, nie darmo Goethe pisze:

Aber so du dies nicht hast,
Dieses: „Stirb und werde“,
Bist du nur ein trüber Gast
Auf der dunklen Erde.

„Indywidualność (różniczkowanie zmysłów, honorów, pragnień) musi zamrzeć, jeźli osobowość ma zmartwychwstać.. Osobowość jest koncentracyą, indywidualność rozczłonkowaniem i rozprószeniem“... „Nowożytnego człowieka można przyrównać do rzeźbiarza, który od-

rzuca skalpel i twierdzi, że bryła jest piękniejszą od posągu, że rzeźbienie jest wdzieraniem się w prawa natury — a tymczasem duch jest właśnie ziszczeniem i udoskonaleniem tego, co natura zaledwie wyjąkać potrafi". Karność wewnętrzna, poddanie się pod ogólne prawa etyczne, mądre, Boże, wyzwala właśnie ducha z więzów humorów, z suggestyi otoczenia, ze zmienności i niestałości i dozwala mu wywrzeć swoją moc twórczą na materyi. „Gdzie osobowość jest tak słabą, że nie znosi *posłuszeństwa*, tam nie było w ogóle siły prawdziwie osobowej"... „Młody człowiek potrzebuje tego rodzaju zahartowania duszy w wyższym stopniu niż zahartowania ciała" (str. 104) a do tego pomoże mu wiele ład i porządek ścisły w szkole. „Przez posłuszeństwo uczy się człowiek wznosić nad naturalne zachcianki", staje się samodzielnym wewnętrznie — o ile wychowanek dorastający potrzebę i korzyści posłuszeństwa pojmuje. Posłuszeństwo nie wycina drzewa indywidualizmu wrodzonego, ale nie pozwala, by się ono stało dziczkiem i w tym celu je okulizuje. „Czemu Nietsche odrzucał posłuszeństwo w zasadzie? Bo posłuszeństwo nie umiało doń przemówić słowami wolności", nie umiało wyjaśnić, że „pomaga do wyzwolenia bohaterskiemu parciu duszy do wolności, do panowania n d ciałem i zmysłami, jakie istnieje w każdym człowieku" (str. 114). Zrozumiejmy tylko, jak czułą jest młodzież na swą godność ludzką, umiejmy rozbudzić tę godność w uczniach i uświadomić dorastających o jej stosunku do posłuszeństwa, a wówczas rządzić będziemy wespół z wychowankiem, a nie przeciw niemu. Żądajmy posłuszeństwa nie pod groźą kar lecz w imię miłości Boga, jako drogi do wolności, do pozbycia się ciasnego uporu, do bohaterstwa. Będzie to wyborna szkoła charakteru.

Ostatnia część dzieła podaje przez doświadczenia w Ameryce (school-city) wypróbowane konkretne rady co do reformy dyscypliny szkolnej i znakomite wskazówki dla początkujących w zawodzie nauczycielskim. Zarysy reformy są: Wychowanie dziecka ku poczuciu jego godności ludzkiej i odpowiedzialności za swoje czyny, („Erziehung zur Selbstachtung und zur Verantwortlichkeit") z wykluczeniem wszelkiej pedagogiki bicia („Prügel-pädagogik"), zachęta, zaufanie do dziecka, suggestywna wiara w jego lepszą stronę, oddziaływanie przez dobrych kolegów.

Co się tyczy początkującego nauczyciela, powinien on pamiętać o tem, że zachowanie się jego w szkole ma być autorytatywne (choć pełne miłości i grzeczności) a nie koleżańskie, powinien strzedz się, by przy pierwszem wystąpieniu nie starał się o pozyskanie sobie uczniów przez szumne rozwijanie programów swej działalności, przez zbyt ugrzecznione przemawianie do jednostek i t. p. Największą zaś siłą wychowawczą samego nauczyciela jest jego cierpliwość i panowanie nad sobą. Środkiem do tej dyscypliny samego siebie „(Selbstdisciplin") jest modlitwa. *Malarz Fra Angelico* miał się zawsze modlić, nim chwycił

za pędzel, by tworzyć swoje niebiańskie postacie. O ileż więcej powinniśmy się my modlić, by tworzyć żywych ludzi! jak musimy się sami skupić i stać się jedno z Boską prawdą, by nasze słowo padło na Boski pierwiastek w młodem sercu. Jak musimy się wznieść sami do niebiańskiej miłości, aby zapanować nad samolubstwem naszych nerwów!"

Cuda tworzy miłość, która się wynurza w modlitwie! (Str. 199, 200). —

* * *

Już przy ocenie „Jugendlehre" podnoszono wątpliwości co do wartości wpływu Foerstera ze stanowiska etyki chrześcijańskiej. Według ks. dra Szczeklika „Jugendlehre" jest owocem ruchu etycznego, niezależnego od religii. Prof. Sägmüller widział w tem dziele próbę praktycznego przeprowadzenia pedagogiki, opartej na samej tylko etyce naturalnej lub co najmniej niebezpieczeństwo takiej pedagogiki (por. Theol. Quartalschrift XC [Tübingen 1908] 320, 321). Że sądy te były przedwczesne, a obawy płonne, wykazuje obecnie Foerster sam. W zakończeniu pracy: „Schule und Charakter" pisze on wyraźnie o moralno-pedagogicznej niemożliwości zastąpienia religii („moral-pädagogische Unersetzlichkeit der Religion") i obiecuje tej kwestyi osobne poświęcić studyum (str. 202). Nadto bardzo często tak mówi o religii chrześcijańskiej, że wyraźnie daje do zrozumienia, że skarby, jakie się w niej mieszczą, nie mogą nawet iść w porównanie z czysto ludzką wiedzą, jak n p, gdy dla poparcia swych dowodów powołuje się na słowa Sacchiniego: „Ażeby zachować sprawiedliwą miarę we wszystkiem, zwłaszcza zaś w karaniu, niech rozważa nauczyciel, z jaką czcią upomina się synów królewskich i niech pamięta o tem, że jego wychowankowie są synami królewskimi, synami Boga, braćmi i współdziedzicami Chrystusa" (str. 179). Porów. także str.: 57, 63—66, 101, 112, 115—122. Wprawdzie tu i ówdzie trzeba brać niektóre twierdzenia z pewną ostrożnością lub wprost odrzucić, jak pochwały moralnego autonomizmu Kanta (str. 86) (porów. artykuł ks. Rostworowsk ego T. J: „Dwie filozofie" w „Przeglądzie powszech." XXV. [1908] 331—343), ale miejsc tych znajduje się bardzo mało. Stronę ujemną dzieła stanowi także przytaczanie zdań innych autorów (najczęściej Hughesa, Lehmanna, de Maistre'a, Pestalozziego, Sailera), bez podania często tytułu odnośnego dzieła lub przynajmniej strony i brak skorowidza imion i rzeczy. Mimo tych kilku usterek dzieło zasługuje na uwagę i rozpowszechnienie, a autor na wdzięczność. U moralistów i pedagogów niezależnych czytamy inaczej o religii i Kościele. Dla nich Kościół jest zazwyczaj uosobieniem tyranii, niemoralności i ciemnoty, gdy tymczasem dla Foerstera jest największem zjawiskiem w pedagogice (str. 115), niezbędnym czynnikiem każdej moralności, wychowania i postępu. Katecheta

i nauczyciel może dużo odnieść korzyści z tej rzetelnej pracy, czyto dla apologii działalności wychowawczej Kościoła, czyto dla swej pracy zawodowej, aby na nadprzyrodzonej podstawie i przy pomocy środków łaski Bożej nauczyć się prowadzić i wychowywać młodzież tak, aby mogła osiągnąć swe przeznaczenie doczesne i wieczne. *J. L.*

Powieści podróżnicze Karola Maya.

Od 20 lat z górą toczy się w niemieckiej prasie katolickiej żywy spór o wartość powieści podróżniczych Karola Maya. Ogłaszał on je w trzech seryach głównych. Najpierw wyszedł cykl illustrowany w wielkiej ósemce, wydany przez „Deutsche Verlagsgesellschaft“ w Stuttgart (Syn niedźwiednika, Karawana niewolników, Skarb w jeziorze srebrnem, Niebiesko-czerwony Methusalem, Testament Inkasa) i w małej ósemce (Czarny Mustang) illustrowanej, wydanej przez czasopismo „*Der gute Kamerad*“. Wiele rzeczy z tej seryi powtórzył autor w następnej, przedstawiając je jako czyny własne. Drugą seryę, główną, na którą autor stale się powołuje i która ma względnie największą wartość literacką, rozpoczął drukować w Pustetowskim *Deutscher Hausschatz* (Regensburg) i w innych miesięcznikach, a następnie wydał w 30 tomach we Fryburgu (w Breisgau) u Fehsenfelda. Trzecią seryę stanowią cykle powieści tuzinkowych, wydanych u Münchmeyera w Dreźnie. Wyszydzają one księży katolickich, odpusty i inne instytucye katolickie, ale z tego nie możemy czynić autorowi zarzutu, bo udowodnił sądownie, że firma wydawnicza nadużyła jego zaufania i wiele rzeczy w manuskrypcie pozmieniała, względnie pododawała. Mówić będziemy o seryi drugiej, głównej.

Jedni od początku zachwycali się barwnością fabuły w tej seryi, drudzy, jak *Alte u. neue Welt*, a zwłaszcza poważne *Historisch-politische Blätter*, przestrzegali przed autorem, który będąc protestantem pisze dla katolików i wmówić chce w każdego, że jest istotnie siłaczem i sławnym myśliwym z preryj indyjskich, znanym jako *Old Shatterhand* lub *Kara ben Nemsi*. Nie zwracalibyśmy uwagi na te dzieła, jako nieaktualne dla Polaków, gdyby nie okoliczność, że we Lwowie i Warszawie równocześnie zaczyna wychodzić tygodnik „*Przez lądy i morza*“, który zapowiada druk seryi drugiej prac Maya w przekładzie polskim z illustracyami i wynosi te dzieła pod obłoki. Według programu jednak, będzie to jakaś przeróbka a nie przekład dosłowny, bo najlepsze powieści, jak Winnetou, W kraju Mahdiego, Szatan i Judasz mieścić się będą każda w jednym tomie, a nie w trzech, jak w wydaniu niemieckiem.

Maya można poniekąd porównać z Vernem, który także nie był katolikiem, a przecież pisał rzeczy wielce interesujące młodzież całego świata, nie wyjmując i kato ickiej. W kunszcie zainteresowania May przewyższa nawet Vernego, bo unika długich opisów i przeprowadza akcyę w sposób nader żywy, tak iż rzecz jednym tchem się czyta. Wpływ Coopera, Dumasa, Ferry'ego znać w okoliczności, że May lubuje się we wspólnej akcyi trzech do czterech osób, przyczem z reguły główny bohater (jest nim sam Old Shatterhand lub Kara ben Nemsi) dostaje się w moc nieprzyjaciół, ale swą przebiegłością i śmiałością odzyskuje wolność. Jeden z towarzyszów bohatera reprezentuje zwykle pierwiastek komiczny i dowcipami swymi okrasza opowiadanie. Za zasługę Mayowi poczytać należy, że umie wznieść się ponad poziom wielu „Indianergeschichten“ i stara się o konsekwentne przeprowadzenie charakterystyki osób działających, a zarazem wplata zręcznie mnogie pouczenia z zakresu geografii, historyi, folklorystyki i lingwistyki, a nawet tu i ówdzie rzuca myśl filozoficzną. Jak *Verne* jednak nie umiał na starość ukryć swego stanowiska jednostronnego i w ostatnich dziełach okazał wyraźnie niechęć ku światopoglądowi chrześcijańskiemu, prawił np. o pośrednim ogniwie między ludźmi a małpami w lasach Afryki itp. (swoją drogą dzieła te i pod względem literackim są mniejszej wartości) — tak i *May* w trzecim i czwartym tomie dzieła: „W państwie srebrnego lwa“ i w dziele ostatniem: „A pokój na ziemi“, zaleca w miejsce dogmatów i wyznań nieokreśloną religię miłości, obejmującą wszystkich ludzi, a nie szczędzi razów Kościołowi.

Karol May urodził się 25. lutego 1842 w Saksonii. Pochodzi z rodziny ubogich tkaczy i był jakiś czas nauczycielem. Zdolności lingwistyczne, bujna wyobraźnia i pewien polot poetycki, połączone z łatwością pióra, popchęły go ku studyom językowym i na pole pracy literackiej. Podróżował wiele i dorobił się ładnego majątku i willi w Radebeul obok Drezna. Zrazu bronił on w *Deutscher Hausschatz* twierdzenia, że przygody, jakie opisuje, przeżył istotnie, a sprzeczności chronologiczne w opisach kładł na karb nakładców, zmieniających dowolnie rękopisy, w ostatnich latach jednak zaczął dowodzić, że wszystkie osoby i zajścia w jego powieściach podróżniczych mają znaczenie symboliczne. Faktem jest, że dopóki May pisał ze stanowiska katolickiego i sławił nawet Bogarodzicę (w dziele: „Winnetou“), świat liberalny i protestancki nie chciał wiedzieć o jego istnieniu, odkąd jednak zaczął się bawić w mglistą mistykę („U progu tamtego świata“), a tembardziej odkąd zaczął uderzać na Kościół, stał się odrazu rozgłośnym! Czyż to nie daje wiele do myślenia?

Wydawnictwo „Przez lądy i morza“ nie tai w ogłoszeniu, że May „potrąca o zagadnienie, czy osiągnięte ideały etyki i sztuki są tylko urojeniami, czy proroczemi intuicyami, które się mają spełnić“ — i do-

daje, że „Karol May potwierdza to drugie“, przez co jednak występuje przeciw faktowi Objawienia ewangelicznego i przeciw nauce Kościoła. Powtarza za innem pismem, że „K. May jest pozytywny w najszerszem i najlepszem słowa tego znaczeniu, że prawdziwie wielkiem jest jego żądanie pojednania się Wschodu z Zachodem, opartego na duchu człowieczeństwa“; porównuje go też z Nietschem, Chamberlainem i Haecklem, ale właśnie te zalecania i porównania zniewalają katolika rozważnego, by twierdzenia tego autora brał cum grano solis i nie wszystkie jego dzieła dawał do rąk młodzieży. Wprawdzie May krytyków swoich porównuje — on, rzekomy apostoł miłości bliźniego! — z pluskwami (sic!), a reklama polska zwie ich z góry ludźmi „szablonowymi“, przeciwstawiając ich „zastępom duchowo świeżych i silnych, znajdujących perły tam, gdzie inni proste muszle widzą“ — ale tego rodzaju suggestyonowanie oceny i terroryzowanie zaszkodzi raczej Mayowi w oczach ludzi samodzielnie myślących, niż pomoże. Nie ubóstwiajmy nikogo na oślep, nie dajmy się złowić na szumną reklamę i nie podsuwajmy młodzieży dzieł zbyt skrajnie „postępowych“, by mogły być prawdziwemi. Polaków razić musi nadto w May'u uwielbianie Niemców (zwłaszcza Sasów i Prusaków) na każdym kroku, uwielbianie zrozumiałe może ze stanowiska młodzieży niemieckiej, dla której autor pisał, ale nieponętne wcale dla narodu, na którym Prusacy dokonują wiwisekcyi nielitościwej. May wspomina o Polakach bez nienawiści, owszem sympatycznie (w dziełach: „Szatan i Judasz“ i „W państwie srebrnego lwa“), ale zna nas tylko z jakiejś encyklopedyi. Oficer polski według niego klnie: „Burza z piorunami“, bo... Niemiec zakląłby: „Donnerwetter“ itp.

Swoją drogą kilkanaście pierwszych tomów Maya zachwycą każdego, kto ma duszę młodą i pełną fantazyi. Nie wstydzimy się wyznać, że oddawna dzieła te podziwiamy i formalnie pochłaniamy — nie wynika stąd jednak, byśmy i ostatnie jego prace mieli zalecać. Cieszylibyśmy się, gdyby tygodnik wspomniany zechciał poprzestać na tem, co jest niewątpliwie dobrem. Swoją drogą, gdyby któryś z utalentowanych naszych autorów opracował coś w rodzaju dzieł Maya na tle ducha rodzimego i katolickiego, wolelibyśmy to stokroć bardziej niż ów przekład, wszczepiający bądź co bądź w szersze warstwy ludu polskiego przesadne uwielbienie niemczyzny. Narzekamy — i słusznie — na brak dobrych a zajmujących książek dla młodzieży; dlaczegóż nie mielibyśmy naśladować w tym względzie May'a, który tak wybornie rozwiązuje zagadkę: jak skojarzyć wiadomości geograficzne, etnograficzne, pouczenia religijno-moralne i ducha patryotyzmu z takiem ożywieniem akcyi, by czytelnik nie mógł się formalnie oderwać od książki i ucząc się z niej wiele, nie spostrzegał tego, że go chcą pouczać? Obyśmy jak najrychlej doczekali się May'a prawdziwie polskiego! Na razie żądajmy przy ewentualnem zamawianiu May'a od Redakcyi, by nie ogłaszała wcale dru-

kiem po polsku dzieł: „U progu tamtego świata“, „Na tamtym świecie“ i drugiej połowy „W państwie srebrnego lwa“, zwłaszcza że pierwsza połowa stanowi całość zaokrągloną—a także pracy: „A pokój na ziemi“. Gdyby zaś May właśnie dla owych dzieł zyskać miał mir u nowej Redakcyi, wiedzieć będziemy, co sądzić o wydawnictwie: „*Przez lądy i morza*“.

Wspomnienia z Konstantynopola.

Z czterdziestu ulic w bazarze zaledwie dwie słusznie noszą dane im ongiś nazwy, a to: handlarzy skór i szewców, gdyż reprezentanci tych samych fachów dotąd je zapełniają swymi wyrobami. Inne ulice targowe posiedli przedstawiciele innych gałęzi przemysłu, różnych od tych, które wskazują nazwy ulic. To dowodzi, że niektóre gałęzie przemysłu przeżyły się lub stanęły u bramy bankructwa; natomiast inne rozwinęły się i zajęły po nich place targowe.

Idąc od ulicy Usun Tszarszü, przechodzi się przez bramę tej samej nazwy. Gdzie tylko rzucisz okiem, zobaczysz po jednej i drugiej stronie ulicy sklepy z szalami o różnych wzorach i różnej piękności. Obok nich widać całe stosy cennych chustek. Po tym kurytarzu targowym snuje się wielka ilość kobiet tureckich szczelnie zawelonowanych. Oczy ich padają z wielką ciekawością na te kobiece towary. Każda z nich chciałaby posiąść czy to szal, czy to jaką chustkę, która jej najwięcej przypada do gustu.

Na prawo idąca ulica od Usun Tszarszü zwie się po turecku Perdachdszi-Hanisok. Na tej ulicy zajęli swe miejsce reprezentanci kunsztu szewskiego. Całe sklepy obwieszone są butami, a przedewszystkiem sandałami i trzewikami, podobnemi do pantofli. Te i to w różnych kolorach zwykli nosić Turcy, prawdopodobnie dlatego, ponieważ dają się łatwo zdjąć przed wejściem do meczetu Odgrywa tu też wielką rolę ciepły klimat tutejszej krainy.

Na dalszej ulicy, ciągnącej się równolegle do poprzedniej a zwanej „Terlikotszi-les-sok“, mieści się znów obuwie wszelkiego rodzaju.

Następna ulica, zwana Kavaflar-tszar, zawiera sklepy z książkami. Tu usadowiły się księgarnie i antykwarnie. Widać spiętrzone całe stosy książek tureckich to starych, to nowych. Ten zakątek zalegają ludzie mający pretensye do wykształcenia.

Miłą niespodziankę gotuje zwiedzającemu bazar wielki, dalsza jego dzielnica zwaną „Bezestan“. Stanowi on najpiękniejszą, największy budzącą interes i najlepiej urządzoną część bazaru wielkiego. To jest centrum całego bazaru. Budował „Bezestan“ sultan Achmed III. r. 1704. Prowadzą do niego cztery wejścia, odpowiadające czterem stronom świata. Wejścia te zamykają na noc cztery żelazne bramy. Kurytarze ze sklepami nakształt ulic są szersze, sklepy też są wygodniejsze. Nie wiele jednak pada światła słonecznego przez szyby szklanne, któremi są opatrzone sklepienia kurytarzy targowych. Zmierzch wywołany w bazarze skąpo dochodzącem światłem słonecznem dodaje za to jemu i jego przedmiotom pewnego uroku i tajemniczości.

Bezestan bywa tylko na kilka godzin dziennie otwierany. Palić w nim tytoniu nie wolno, gdyż z tego właśnie powodu kilka razy zgorzał. Godzien on zwiedzenia szczególnie dla miłośników broni. Stanowi on bowiem niejako muzeum broni ręcznej. Lubownik tego rodzaju przedmiotów napotka tu rzadkie okazy. Jednak niech się nie spieszy z kupnem, gdyż wkrótce będzie żałował swego pośpiechu Mnóstwo tu bowiem jest fałszywych antyków bezwartościowych.

Są tu do nabycia sławne szable, zwane damascenkami, pochodzące wrzekomo z bardzo dawnych lat, noszone podobno przez sławnych wodzów tureckich! Obok szabel widnieją sztylety osadzane złotem i drogimi kamieniami, pistolety wykładane achatem, jaspisem i perłami, berdysze o różnej wielkości i wartości, strzemiona ze złota i srebra, siodła zdobne starożytnymi haftami, tarcze, pancerze na piersi, strzały i włócznie.

Poza Bezestanem są jeszcze inne place targowe, zajęte głównie przez żydowskich handlarzy. Wystawione są tu na sprzedaż towary rymarskie, krawieckie, zabawek dziecięcych, oraz czapek, a głównie fezów. Tak obaczywszy te osobliwości bazarowe, można je pożegnać, wychodząc bramą przy Nuri Osmanieh.

Warto jeszcze pofatygować się na ulicę Kujumdszi-tszarszisi czyli ulicę jubilerską, położoną po wschodniej stronie Bezestanu. W skrzynkach oszklonych błyszczą się cenne przedmioty jubilerskie, jak: dyamenty, sznury pereł, pierścienie, kolczyki, branzolety i inne niewielkie ozdoby. Tu cisną się Turczynki bogatsze, ciekawe oglądnąć te drogie błyskotki! A są one drogie i płaci się za nie drożej niż u jubilerów zachodnio-europejskich.

Są jeszcze inne place bazarowe, położone po zachodniej stronie ulicy Usun Tszarszi, jak z kawiarniami, golarniami, magazynami sukni, bielizny, dywanami i. t. d. Wystarczy jednak przejść koło tego rodzaju sklepów, rzucić tu i ówdzie okiem i odejść. Kupować nie warto, gdyż z pewnością oszukają Europejczyka, zwłaszcza że te sklepy są w rękach żydów! Tych tu też wielkie mnóstwo! Twarze ich wstrętne, gdyż chytrość, żyłka oszukańcza oraz przewrotność widnieją z ich rysów. Widok ich budzi we mnie smutne refleksye! Myśl moja ulata do mojego kraju, w którym takie masy żydów mieszkają, żyją z krwawicy ludu polskiego, a gardzą przy tem jego językiem, zwyczajami narodowymi, wyszydzają jego religię! Ileż to złego spływa za pośrednictwem ich na lud polski! Przewrotna ich etyka, szerzona przez nich, złe książki, bezwstydne pisma i karty illustrowane oraz spektakle bezwstydne, niszczą wiarę i psują dobre obyczaje młodzieży i ludu naszego! Prócz moralnej zgnilizny sprowadzają oni na nas ruinę materyalną! Wódka, lichwa, pieniactwo pozbawiły niejednego już chłopa naszego lub mieszczanina, co więcej nawet szlachcica, majątku! „Żydzi — pisze X. Karol Niedziałkowski — są plagą i karą każdej ziemi, na której osiedli, bo ich działalność materyalna jest ruiną a moralną trucizną społeczeństw, które ich przyjęły. Nietylko można lecz nawet koniecznie trzeba się bronić od zagłady, jaką ich działalność niesie chrześcijanom".

Słusznie też jeden ksiądz — pisząc o kwestyi żydowskiej u nas oraz o moralnej i materyalnej ruinie, jaką żydzi nam gotują — powiada tak:

„Krzyczymy, że nam Polskę wzięli Rusy, Prusy,
I wstręt za to czujemy do nich z całej duszy,
Dzisiaj naszą ojczyznę zabierają Żydzi,
Lecz mało kto z Polaków czuje to i widzi!“

Wywłaszczenie Polaków w Wielkopolsce jest strasznym ciosem dla nas, gdyż godzi wprost w byt narodu naszego. Jednak przekonanie, że ustawa ta drakońska urąga wszelkim prawom Boskim i ludzkim, wlewa przynajmniej tę pociechę, że jako niesprawiedliwa nie odniesie zamierzonego przez Prusy celu, lecz przyniesie niechybnie szkodę moralnym i materyalnym interesom Niemiec. Sprowadzi ona bowiem na nich pomstę Bożą, zdeprawuje całkowicie ich naturę, uczyni ich zniewieściałymi i pogrąży coraz więcej w błocie moralnym.

Natomiast zbliży ona Boga do nieszczęsnego narodu polskiego — zleje Jego nań błogosławieństwo, uczyni go hartownym na przeciwności jak stal i oczyści w ogniu boleści.

„Z rozbolałego serca — pisze jeden z Polaków — żywą księgę,
Zapisz na zawsze słowa takiej treści:
Jak ruda w ogniu znajduje potęgę
Oczyszczającą — tak człowiek w boleści“.

Jednak najsmutniejszy jest ten fakt, że my pozwalamy się dobrowolnie w naszym kraju wywłaszczyć przez obcokrajowców i innowierców! To jest ból bólów! Z tak smutnemi myślami na powyższy temat, opuściłem z mym towarzyszem bazar wielki. Wyszedłszy z tych kurytarzy krytych, pełnych stęchlizny i różnych nieprzyjemnych woni, odetchnąłem swobodniej na świeższem powietrzu Podążyłem przez most nowy na Złotym Rogu na dzielnicę Galatę, by wydostać się na wieżę Galatę i rozkoszować się widokami, jakie się stąd daleko i szeroko roztaczają.

Ks. dr. St. Dutkiewicz.

Szkic katechezy o Modlitwie Pańskiej.

Przygotowanie. Odpytanie lekcyi poprzedniej. *Na co P. Jezus nauczył Modlitwy Pańskiej? Zanim uczyć się będziecie o prośbach, jakie są w Modlitwie Pańskiej, trzeba sobie przypomnieć niektóre rzeczy. Na co P. Bóg stworzył ludzi? (P. 4). *Kiedy miłujemy siebie tak, jak Bóg przykazał? (P. 151). *Czy wystarczy do zbawienia wierzyć we wszystko, co Bóg objawił? (P. 144). *Które przykazanie nakazuje oddawać Bogu chwałę najwyższą? *Czego zabrania Bóg w drugiem przykazaniu Boskiem? (P. 180) Jak powinniśmy mówić o Bogu i o rzeczach świętych? O tem właśnie mówi pierwsza prośba Modlitwy Pańskiej, o której was pouczę.

I. *Wykład.* *Powiedz pierwszą prośbę Modlitwy Pańskiej! *Kto się ujął za P. Jezusem, gdy P. Jezus wisiał na krzyżu? Opowiadanie o zachowaniu się i nagrodzie łotra pokutującego. Kto zna i wielbi P. Boga w niebie? Kto powinien znać i wielbić P. Boga na ziemi? Wysnucie odpowiedzi po p. 387.

Pogłębienie. *Dlaczego wszyscy ludzie powinni P. Boga znać i wielbić? Nawiązanie z przygotowaniem i rozbiór dwóch pierwszych zwrotek pieśni: „Kiedy ranne“. Parafraza ze str. 218.

Zastósowanie. Zachęta do pobożnego pacierza rano i wieczór.

II. *Wykład.* Powiedz drugą prośbę Modlitwy Pańskiej! *Kto zapytywał P. Jezusa sądownie o to, czy P. Jezus jest królem? Co na to P. Jezus odpowiedział? Katecheta poucza stopniowo o trojakiem królestwie Chrystusowem i zestawia odpowiedź po p. 380.

Pogłębienie. P. Jezus lubił się nazywać nie królem, lecz pasterzem, bo rządzi jak pasterz najłagodniejszy i Ojciec najlepszy. Zużytkowanie porównań ewangelicznych o dobrym pasterzu i o owcach Położenie nacisku na tem, by stale Duch św. przez łaskę królował w sercach naszych. Królestwo pokoju Bożego na ziemi. Parafraza ze str. 218

Zastósowanie Zachęta do pociągnięcia innowierców ku Chrystusowi drogą nauczania, a zwłaszcza miłością i życiem cnotliwem. Modlitwa za missyonarzy.

III. *Wykład.* Powiedz trzecią prośbę Modlitwy Pańskiej! Opowiadanie o modlitwie P. Jezusa w Ogrojcu i wysnucie odpowiedzi po pyt. 381.

Pogłębienie. Katecheta odświeża i nawiązuje pouczenie (p. 47) o celu cierpień i o ufności w miłosierdzie Boże (p 170). Opowiadanie o sposobie, jakim kapelan wojskowy pocieszył Skrzetuskiego (według „Ogniem i mieczem“). Parafraza ze str. 208. Czytanie p. 379—381 i skupienie próśb odnoszących się do naszego stosunku do Boga i do wiecznych potrzeb naszej duszy.

Zastósowanie. Opowiadanie o Jobie. Proś o stałość w nieszczęściach i o zgadzanie się z wolą Bożą.

Z LITURGIKI.

Światła elektrycznego (lamp) nie wolno używać na ołtarzu podczas wystawienia Najśw. Sakramentu — ani dokoła tabernaculum, ani pośród lichtarzy. Wolno natomiast obrazy Najśw. Serca Jezusowego i Najśw. Maryi Panny ozdabiać aureolami ze świateł elektrycznych, księżycem świetlnym u stóp, promieniami świetlnymi dokoła całej postaci. Na pająkach jednak i kandelabrach świec woskowych nie powinno się zastępować elektrycznemi. Tak wynika z odpowiedzi, jaką na zapytania odnośne dała św. Kongregacya Obrzędów 17-go stycznia 1908 r.

Śpiew niewiast w kościele jest dozwolony, gdy siedząc w ławkach. oddzielnie od mężczyzn, śpiewają naprzemian z mężczyznami, a nawet same w ich braku „partes invariabiles Missae“, albo też poza funkcyami ściśle liturgicznemi śpiewają w języku ojczystym hymny lub pieśni. Powody tej decyzyi (z 17. stycznia 1908) przytacza św. Kongregacya Obrzędów dwa: 1) Kościół pragnie, aby przedewszystkiem mężczyźni i chłopcy przyczyniali się śpiewem do uświetnienia nabożeń-

stwa, ale nie wyklucza niewiast i dziewcząt, zwłaszcza w braku pierwszych. 2) Gdy chodzi o „officiatura choralis“, śpiew samych niewiast, zwłaszcza w kościołach katedralnych, nie jest dopuszczalny bez ważnej przyczyny, o której Ordynaryusz sąd swój wydać musi. „Caute semper, ut quaevis inordinatio vitetur“.

Przy wystawieniu Najśw. Sakramentu niewolno hymnu „*Tantum ergo*“ przerywać i wplatać po pierwszej zwrotce litanii loretańskiej z modlitwą, lecz dodawać należy bezpośrednio zwrotkę *Genitori*. Niewolno też przechowywać Sanctissimum w ołtarzu, nad którym znajduje się mieszkanie z łóżkiem, chociażby ołtarz nakryty był baldachimem. (Św. Kongr. Obrz. 24. stycznia 1908).

Odpust zupełny otrzymać mogą — jak wiadomo — wszyscy, którzy byli obecni na połowie lub 5-ciu przynajmniej kazaniach missyjnych, rekollekcyjnych, wielkopostnych lub adwentowych, otrzymali błogosławieństwo krzyżem na ostatniem kazaniu, przyjęli godnie Sakramenta św. Pokuty i Ołtarza i pomodlili się w myśl Kościoła. Na odprawienie spowiedzi w pięciu dniach ostatnich zezwolił Ojciec św. Pius X. 28. sierpnia 1907.

Odpustu 300 dni dostąpić można za akt strzelisty: Cor Jesu eucharisticum, cordis sacerdotalis exemplar, miserere nobis. (Św. Kongr. Obrz. 11. września 1907)

RECENZYE.

Maurycy Zych. Echa leśne. Odbito w drukarni W. L Anczyca w Krakowie MCMV. Książkę zdobił Jan Bukowski. Chromotypia Jacka Malczewskiego.

Dopiero teraz przysłano do recenzyi książkę niewielką rozmiarami, bo zaledwie 39 stron liczącą, wydaną jeszcze w r. 1905, ale niemniej po dzień dzisiejszy aktualną i zasługującą ze wszech miar na uwagę. Pod względem zewnętrznym zdobi ją szata wprost przepyszna, wykonana z niezwykłym smakiem artystycznym, ozdobę pierwszorzędnej wartości stanowi wspaniała chromotypia Jacka Malczewskiego, przedstawiająca Ukrzyżowanego, który błogosławi Moskala i powstańca z r. 1863. Autorem jest powieściopisarz niepośledni, dzisiaj rozgłośny, sławny i osławiony, kryjący się pod nazwiskiem Zycha, gdy tworzy epikę patryotyczną. Mimo zgrzytów i dysonansów drga w bezpretensyonalnym zresztą obrazku kawał życia doskonale podpatrzonego, opartego o prosty pozornie a niezmiernie smutny przez swój tragizm epizod z r. 1863. Rzecz dzieje się w czasach dzisiejszych. Wynikła z „ukazu“ zamiana gruntów sprowadza do wycięcia trójkąta leśnego ludzi najrozmaitszych, od dymisowanego zruszczonego generała Rozłuckiego do wójta Gały z miedziakiem „za uśmirenie polskiego miatieża“. Dzieci wieku, sceptyczni, zgryźliwi, choć na chwilę zmieniają swą naturę pod wpływem uroku miejsca, gdzie rozgrywały się straszne sceny w r. 1863, a jenerał wyznaje, że przez niego zginął na tem miejscu jego bratanek. Gdyby nie zwykłe u Zycha, a pod sam koniec dreszczem przejmujące szy-

derstwo, rzecz pod względem artystycznym byłaby najzupełniej dociągniętą. *w. k. m.*

Gabryela Zapolska: Wodzirej. Powieść. Wydanie drugie. Gebethner i Wolff. Warszawa 1908.

Wybujały talent Gabryeli Zapolskiej od r. 1883 drażni uczucia naszego społeczeństwa, nie mogącego pogodzić się z jej sposobem przedstawiania scen zmysłowych. Początkowo nazywano ją pierwszą naturalistką w powieści, polskim Zolą. Biorąc rzecz dokładniej, tkwi w tem pewna przesada. Zapolskiej daleko do Zoli, do prawdziwego naturalizmu, gdyż ten po bliższem oglądnięciu zasługuje u niej co najwyżej na nazwę drastyczności, niezdrowej zmysłowości, w rzeczywistem życiu rzadko spotykanej. Co gorsza Zapolska, z właściwą zdenerwowanym kobietom afektacyą, popada łatwo w przesadę i nieznajomość podłoża, na którem rozsnuwa kanwę swych powieści, pokrywa nieraz wprost monstrualnem karykaturowaniem. Powyższe cechy charakterystyczne widnieją przedewszystkiem w jednej z jej starszych powieści, po 10 latach ukazującej się w nowem wydaniu. „Wodzirej“ przedstawia typ nieźle postawiony i przemyślany, swem nieporadnem marzycielstwem i dobrodusznością z jednej strony, ale i bezwzględnym egoizmem z drugiej odbijający od zatrutej atmosfery ogniska i przedstawiciela nowoczesnej kultury, miasta Lwowa. Niezdrowe miazmaty salonów, buduarów, sal balowych wytrącają wodzireja Wielohradzkiego zupełnie z równowagi, podsycają nerwowość, wytwarzają gorączkę, a wreszcie sprowadzają istny ferment rozkładowy i katastrofę dzięki bezdusznej damie z wielkiego świata. Na pierwszy rzut oka powieść wywiera wrażenie, iż była pisaną pod wpływem obserwacyi wydarzeń rzeczywistych. W istocie sztuczny, silony naturalizm okazuje się blichtrem, w dalszym ciągu nawet przez karykaturalną przesadę wprost nuży. Autorka nie zna ani świata arystokracyi, ani burżuazyi, który maluje z tendencyjną, nie ukrywającą się wcale złośliwością, co gorsza karykaturuje też bliższy jej świat literacko-dziennikarski Lwowa, a już do szczytu nieprawdopodobieństw dochodzi w skreśleniu sialanki nadmorskiej w Concarneau. Co do samych scen zmysłowych, to jak na Zapolską w „Wodzireju“ jest ich stosunkowo mniej choć książka nasycona oparami dusznymi. *w. k. m.*

Marya Rodziewiczówna Byli i będą. Powieść z niedawnej przeszłości. Gebethner i Wolff. Warszawa 1908.

Sympatyczna autorka „Dewajtisu“, korzystając ze swobodniejszych nieco stosunków cenzuralnych w Królestwie Polskiem, wystąpiła świeżo z powieścią, z której bije czysta krynica szczerej miłości ojczyzny. Tytuł „Byli i będą“ określa samą treść doskonale. Tak, było istotnie u nas pokolenie, które przetrwało straszne burze r. 1863, nie ugięło się pod prześladowaniem, chcącem mu odebrać wszystko: wiarę, ziemię, wolę, a choć całe zaścianki poszły z dymem, zdaje się, że znikły z powierzchni po zaoraniu zupełnie, zostały przecież w popiołach tlejące iskierki, dające nowe życie tym, co są i będą. Hasłem, pod którem możliwe podobne zwycięstwo: twarde trzymanie się wiary ojców i trwanie przy ziemi ojczystej, matce-żywicielce. Tylko, że gdy starzy szli z tem hasłem bez namysłu naprzeciw wszelkiego niebezpieczeń-

stwa, nie oglądając się nigdy poza siebie, młodemu pokoleniu, nadwątlonemu fizycznie, podupadłemu duchowo opanowanie woli nie przychodzi tak łatwo. Ciało i dusza zmaga się w bolesnej walce, a choć nie ulega, nie poddaje się rozpacznemu zwątpieniu jednak dopiero po syzyfowych trudach i bólach dochodzi do tego samego rezultatu, co i przodkowie. Losy ludzi podobnie walczących są treścią powieści. Na nadzwyczaj plastycznie oddanem tle, obejmującem szerokie horyzonty warstw drobnej, szarej szlachty zaściankowej i dworów pańskich, rysuje się ostro wyrazista postać bohatera Stefana Hrehorowicza, potomka tych, co legli za dobrą sprawę. Mimo wpływów przeciwnych dobre ziarno bierze w nim górę, myśl skupia się w jedno ognisko, by osiąść na roli ojców i ręka w rękę z ukochaną przez siebie Misią czynić wiele dobrego dla ludu, tak srodze uciskanego przez Moskali, a tem samem działać dla dobra ojczyzny. Powieść obfituje w prześliczne epizody, pod względem artystycznym jest najzupełniej wykończoną, a przedstawia ponadto całą galeryę typów rzeczywistych, wyrwanych z życia, nieraz ponad zwykłą miarę skrojonych, na wzór bohaterskich olbrzymów. Pewna wirtuozya słowa, naturalny wdzięk w opowiadaniu, szczerość uczucia, a nadewszystko piękna myśl przewodnia każą najnowszą powieść Rodziewiczówny zaliczyć do perełek naszej belletrystyki. W dzisiejszych czasach wypełnia ona nadto ważną lukę społeczną, ucząc na żywem ciele narodu głębokiej miłości ludu i ziemi ojczystej.

w. k. m.

Czytanki na zmianach tajemnic różańcowych, str. 129. Opracował ks. Adolf Albin, proboszcz w Chełmie. Cena 1 K. 50 h. Skład główny w księgarni Zygmunta Jelenia w Tarnowie. W większej ilości dla przełożonych w „różach" u autora ze znacznym rabatem.

Wszyscy kapłani, in *cura animarum* pracujący, zgodzą się na to, że skupienie powierzonych nam owieczek i utrzymanie ich w dobrem najlepiej udaje się w *żywym różańcu*. Przez „róże", roztropnie i umiejętnie prowadzone, może duszpasterz nie tylko dodatnio wpływać na całą parafię, ale i niejednę rzecz dobrą w parafii wprowadzić i przeprowadzić. Niestety lud nasz częstokroć nie wie i nie rozumie, w czem leży siła różańca i co stanowi jego ducha. Czysto mechanicznemu pojmowaniu i praktykowaniu modlitwy różańcowej zaradza niniejsza książeczka. Zalecać ją warto wszystkim przełożonym w *różach* i wpływać na nich, aby w niedzielę i święta odczytywali po jednej czytance swoim braciom, czy siostrom w *róży*.

Gdzie parafianie umią już dobrze odmawiać różaniec, rozumią go i rozmyślają nad tajemnicami, tam gotowy jest materyał do pracy społecznej. Co można zdziałać w parafii przy pomocy braci różańcowej i przez nich, wskazują również te „*Czytanki*"; można będzie z nich zaczerpnąć inicyatywę do tego lub owego dzieła dobrego. W seryi drugiej ma być więcej czytanek na temat socyalny.

Książeczka ta nie rości sobie pretensyi do naukowości; krytyk ścisły nawet zewnętrznej formie niejedno zarzuci — ale może ona wiele dobrego zrobić i nieraz się przydać Księżom Dyrektorom, bo autor pisał z własnego doświadczenia i w sposób praktyczny.

MISCELLANEA.

„Rosya nie ma jeszcze parlamentaryzmu“. Te słowa ministra skarbu, Kokowcewa, rzucone w twarz Dumie, a uzasadniane przez pisma wszechrosyjskie argumentem, że oddanie Dumie władzy prawodawczej, tej istoty parlamentaryzmu, równałoby się upadkowi Rosyi — ujawniły głębokie przekonanie biurokracyi rosyjskiej, potwierdzane licznymi czynami. Mimo bowiem konstytucyi i wolności wyznań, przez Mikołaja II. ogłoszonej, rozpędzono gwałtem kapitułę wileńską i zabrano w sekwestr jej dobra za to jedynie, że w myśl prawa kanonicznego i *praw rosyjskich* nie wybierała administratora dyecezyi, bo biskup Roop nie umarł i nie zrezygnował. Świeżo znów zamknięto wszystkie szkoły prywatne z językiem wykładowym polskim w gubernii płockiej dlatego, bo w jednej szkole, w mieszkaniu stróża znaleziono materyały wybuchowe. Czy stróż a młodzież i nauczyciele, to jedno? Gdyby nawet młodzież w jednym zakładzie dała się niebacznie wciągnąć w knowania radykalne, czyż ma za to — i to bez sądu! — cierpieć ludność całej gubernii? Nie dziw, że Polacy nie mogą mieć zaufania do takiego rządu i zamierzają ustąpić całkiem z Rady Państwa, widząc, że są tam zbyteczni. Niestety, czynownictwo wrażliwszem jest na wpływy berlińskie, niż na dobro samej Rosyi, a Moskale zamało mają wyrobienia politycznego, a zawiele dumy narodowej, by zdołali zrozumieć tysiącletnie nawoływanie historyi, że Niemiec różni Słowian między sobą, by w swym *Drang nach Osten* łatwiej wszystkich ujarzmił!

Hakatyści zżymają się na to, że Polacy w Prusiech mimo ustaw krzywdzących nie zrywają się do czynów rozpaczliwych i nie pozwalają nimi usprawiedliwiać ucisku, więc zmyślają pogróżki, jakie rzekomo spotykają wysokich urzędników, a nawet ogłosili za „Gwiazdą“ list proboszcza polskiego, który wzywa do gwałtów. Wprawdzie urzędnicy owi zaprzeczyli pogłoskom, a „Gwiazda“ wytacza pismom niemieckim proces o oszczerstwo, bo podobnego pisma nigdy nie drukowała, ale oszczerstwa cel swój osięgną: obiegają one całą prasę niemiecką i wszystkich Niemców podbudzają przeciw Polakom.

W obec tego — i ze względu na mylne opinie, jakie nasi Rusini krzewią wśród Niemców, zachodzi potrzeba wydawania dwóch światowych dzienników w języku niemieckim: w Wiedniu i w Berlinie, by informować świat cały o istotnym stanie rzeczy. Kto jednak dostarczy na to funduszów??

Sprawa Wahrmunda, prof. prawa kanonicznego na uniwersytecie w Innsbruku, nie chce ucichnąć. W broszurce agitacyjnej napadł on złośliwie na religię i Kościół katolicki, a gdy prokuratorya i sąd (po rozprawie) skonfiskowały kilka ustępów, postarał się o ich immunizowanie za pośrednictwem socyalistycznych posłów do Rady Państwa i wydał nowy nakład, dedykowany złośliwie... nuncyuszowi wiedeńskiemu i przesłał broszurę Kuryi rzymskiej! Gdy oburzeni tem posłowie katoliccy niemieccy zażądali wytoczenia Wahrmundowi śledztwa dyscyplinarnego i usunięcia go z katedry, odpowiedział obóz radykalny twierdzeniem, że broszura Wahrmunda nie ma nic wspólnego z wykładami uniwersyteckimi, zatem autor nie podpada pod przepisy dyscyplinarne. Równocześnie inni liberałowie (i nasza *Nowa Reforma* i *Kuryer lwowski)* wystąpili w obronie rzekomo zagrożonej wolności nauki i swobód uniwersyteckich! Tosamo więc przedstawiają bądź jako rzecz prywatną, nienaukową, bądź jako

naukową; w istocie broszura jest nędznym pamfletem agitacyjnym i nie ma w sobie ani cienia naukowości. Wreszcie fakultet prawniczy w Insbruku, wcale nie klerykalny, uchwalił jednogłośnie żądać obsadzenia katedry prawa kanonicznego innym profesorem. Cóż czynią wówczas obrońcy swobód uniwersyteckich? Oto organizują strejk studentów na wszechnicach, by wymusić na rządzie obalenie samodzielnej uchwały profesorów Można tu doprawdy zastosować przysłowie: „*Und der Kaiser* (fakultet uniwersytecki) *absolut. wenn er unsern Willen tut*. Nie profesorowie mają odtąd rządzić uniwersytetem, lecz studenci radykalni, a ponieważ studenci radykalni nietylko są za szkandałami w guście Wahrmunda, ale pragną usunąć z uniwersytetów fakultet teologiczny, a przedewszystkiem od szeregu lat nie dozwalają swym kolegom. studentom katolickim, używać barw i sztandarów, więc..... ministerstwo powinno prawa katolików zgwałcić bez namysłu — a wymagać od nich tylko podatków! Nie widać niestety, czy pewne sfery pojmują, co znaczą zasady: państwo prawne, wolność i równość w zakresie praw itp.

Ujadania prasy socjalistycznej na religię i na księży nikogo już nie dziwią; dziwić może natomiast stanowisko *Słowa Polskiego* W pewnych razach występuje ono w kwestyach religijnych objektywnie, a jednak świeżo uderzyło na autentyczność Apokalipsy św. Jana Ewangelisty i przypisało jej autorstwo św. Janowi Chryzostomowi dlatego, bo..... tak napisał jeden z Moskali i poparł to mglistemi analogiami kabalistycznemi! Gdyby redaktorzy Słowa Polskiego znali dzieła Ojców Apostolskich i innych Ojców Kościoła z I., II. i III. wieku naszej ery i czytali w nich cytaty z Apokalipsy, nie ośmieliliby się *podawać za pewnik*, że Apokalipsa powstała pod koniec IV. wieku! I Moskala jednak uzna ten ślepo za powagę niewzruszoną, komu chodzi o to, by zachwiać podstawy chrystyanizmu! Charakterystyczną jest również okoliczność, że *Słowo Polskie* podaje treść (w n. 220 z $^{11}/_5$) „*Wychowania i oświaty*", organu galicyjskich nauczycieli religii mojżeszowej, wychodzącego w Stanisławowie — i chwali n. 27 za „bardzo wiele trafnych uwag i spostrzeżeń" — a nie chciało i nie chce ogłaszać treści *Dwutygodnika kat*, wydawanego dla katechetów katolików, ani w ogóle treści pism katolickich. Widać kieruje się hasłem „liberalnem": „Równa miara dla wszystkich. wyjąwszy.... katolików". I narzekają jeszcze Wszechpolacy, że duchowieństwo katolickie nie ufa im dotąd i nie popiera ich ślepo! Trudno! I księża wreszcie potrafili się pozbyć ...naiwności. Ubolewać tylko można, że „patryoci polscy" zamiast w odrodzeniu się społeczeństwa w duchu katolickim widzą świt lepszej przyszłości narodowej w wysługiwaniu się „postępowemu" judaizmowi, który dokonuje podboju Galicyi nie gorzej, choć inną drogą, jak Moskale i Prusacy w swoich zaborach.

Zuchwałego świętokradztwa dopuścił się podczas świąt wielkanocnych prof. uniw. żyd dr. Feilbogen, który w Rzymie przyjął Komunię św. z rąk samego Papieża, wraz z żoną i znajomą, poczem owa znajoma usiłowała Hostyę wypluć i unieść ze sobą, ale Hostya upadła na ziemię. Sprawa nabrała rozgłosu wskutek tego, że ów profesor otrzymał bilet wstępu do kaplicy sykstyńskiej na zalecenie ambasady austryackiej. Rząd nasz załagodził sprawę, wyrażając swe ubolewanie i oburzenie i usuwając profesora z posady; znamiennem jednak jest zuchwalstwo żyda w tem zajściu.

Rząd francuski ma kłopot z legatami mszalnymi, które ciążą na dobrach i sumach Kościołowi ka-

tolickiemu zabranych. Radykali pragną owe legaty poprostu unicestwić, ale ludzie, w których nie zamarło całkiem poczucie prawa i słuszności, radziby nie „wywłaszczać“ umarłych i dlatego życzą sobie, by powstały związki emerytalne wśród księży katolickich, bo związkom tym powierzonoby owe Msze św. do od prawiania. Decyzya zawisła od Stolicy Apostolskiej, do której zwrócił się w tej mierze Episkopat francuski. Papież pragnie z jednej strony dopomóc duchowieństwu do utrzymania, ale z drugiej strony lęka się nie bez racyi, że rząd uzna owe związki za „związki wyznaniowe“, przez ustawę prześladowczą prze widziane i gotów przy ich pomocy usiłować rozbić organizacyę Kościoła. Jeźli zaś Rzym i Episkopat francuski woleli dać ograbić Kościół z budynków, świątyń, funduszów i legatów, aniżeli dla ich zatrzymania naruszyć organizacyę, daną przez Chrystusa P., to nie jest możliwem, by dziś zająć mieli stanowisko odmienne dla „ochłapu“ z rzeczy zrabowanych. Decyzya Rzymu zawisła przeto od tego, jak rząd francuski przedstawia sobie emerytalne związki księży.

Wyznawcami nazwać trzeba ks. *Józefa Borodzicza*, proboszcza z Sobotnik, skazanego na 3 lata wygnania do Jarosławia — i ks. *Bolesława Korna*, proboszcza z Holszan, wywiezionego na 3 lata do gubernii kostromskiej. Wskutek braku biskupa i kapituły, probostwa te muszą pozostać nieobsadzone, co wiernych naraża na poważne szkody duchowne i narodowe, bo wikaryusz nie ma powagi należnej wobec władz rosyjskich i nie może skutecznie odpierać zakusów rusyfikacyjnych.

Wiadomości dyecezalne.

Lwów. *Inst.* na prob w Czerwonogrodzie ks. *Wołoszyński* Franciszek, w Husiatynie ks. *Podraza* Marcin, w Rawie Ruskiej ks. *Ryś* Ludwik. — *Zmarł* ks. Błażej *Ziemiański*, prob. u św. Anny we Lwowie, w 63 r. życia a 34 r. kapłaństwa. R. i. p!

Przemyśl. *Inst.* na prob. w Zagórzu starym ks *Lewkowicz* Jan. *Przeniesieni*: ks Józef *Grodecki*, ekspozyt w Ulanowie, do Łętowni; ks. Wawrzyniec *Lewicki*, ekspozyt w Łętowni do Ulanowa; ks. Franciszek *Czyżewicki* z Szebień do Mościsk; ks Kajetan *Łańcucki* neomysta przeznaczony do Szebień.

Egzamin konkursowy na proboszczów złożyli z pomyślnym wynikiem: Ks. Walenty *Cetnarowicz*, wikary w Rudniku, ks. Łukasz *Forystek*, wikary w Rozembarku, ks Teofil *Lewicki*, wikary w Łące (z odzn.), ks. Wiktor *Różycki*, wikary w Bielinach, ks. Józef *Sołtysik*, wikary katedr. w Przemyślu (z odzn), ks Józef *Wolski*, wikary w Sędziszowie (z odzn.).

Kraków. *Przen*: ks. Józef *Batko* z Niepołomic na Zwierzyniec, ks. Wojciech *Sidziński* ze Zwierzyńca na administratora do Kościelca, ks Karol *Gelata* z Kościelca do Łapanowa, ks. Stanisław *Miernik*, z Łapanowa do Niepołomic.

Urlop otrzymali: ks. Jan *Gwoździewicz* na miesiąc; ks. Jan *Michalik* na miesiąc, ks. Jan *Markuzel* na 6 tygodni. *Zmarł*: ks. Mikołaj *Kalinowski*, exreformat z gub. płockiej w 74 r życia, w szpitalu Braci Miłosierdzia w Krakowie. R i. p.

Tarnów. *Mian.*: ks. Stanisław *Nowak* (senior) adm. (in spir) w Żwierniku; ks. Franciszek *Słowiński*, proboszcz w Żeleźnikowej, adm. excurr. w Biegonicach. — *Zmarł* ks. Andrzej *Niemiec*, prob. w Biegonicach. R. i. p!

Skrzynka na listy. *Kilku zapytującym:* Wydawnictwa moje na polu katechetycznem doznały nader życzliwej oceny w pismach fachowych polskich, niemieckich i czeskich (świeżo nawet w angielskiem w Stanach Zjednoczonych), ale w Galicyi urzędowo przez c. k. Radę szk. krajową nie zostały i *nie będą* dopuszczone do szkół, bo robią konkurencyę wydawnictwom naszych stolic i nie cieszą się protekcyą. Na podanie w sprawie *Zarysu Historyi Kościoła*, wniesione w r. 1900, dotąd więc (w 8 latach!) nawet nie odpowiedziano! Jedynie *Biblijne katechezy elementarne* dla katechetów zalecono, bo nie robią nikomu konkurencyi, ale już *Dzieje Biblijne* z podziwu godną konsekwencyą odrzucono, chociaż są integralną podstawą *Katechez* i w nich się mieszczą. Mimo to książek tych wielu duszpasterzy i katechetów używa z pożytkiem na tej podstawie legalnej, że wolno nie wymagać podręczników „urzędowych“ od uczniów ubogich, wolno też zalecać do lektury książki mające aprobatę biskupią — a to wystarcza. Nie dla interesu zatem, bo w tych warunkach i przy nader nizkich cenach o zyskach mowy nawet być nie może, lecz dla dobra sprawy — przystąpiłem do ponownego wydania owych książek — i to *bez zmian*, odkładając zużytkowanie uwag, łaskawie mi nadsyłanych, na później i proszę uprzejmie o życzliwe poparcie. *Zarys Historyi* (3 K.), uwzględniając Dzieje Kościoła w Polsce i prądy socyalne, odda usługi w szkołach średnich, lyceach i seminaryach nauczycielskich. *Średni Katechizm* illustr. (1 K. 60 h.) nadaje się dla seminaryów naucz., dla szkół wydziałowych i dla I. i II. klasy szkół średnich, zwłaszcza, że obejmuje w sobie liturgikę; pożytecznym jest także przy wiejskiej nauce dopełniającej. *Katechizm Krótki* (70 h.) illustrowany w oprawie mocniejszej czyni zadość potrzebom dziatwy we wszystkich klasach szkół ludowych, a dopełniają go *Dzieje Biblijne* (50 h.). Dziatwa, która korzystała dotąd z *Katechizmu Krótkiego*, powinna przy nim nadal pozostać, bo łatwiej i więcej zeń skorzysta niż z jego skróceń. Na liczne jednak żądania wydaję (będzie w obiegu od 1. września 1908) tak zw. *Katechizm Mały* w mocnej oprawie po 50 hal. dla szkół, w których dzieci nie mają illustr. Katechizmu Krótkiego (po 70 hal.), a nie mogą skorzystać należycie z katechizmu urzędowego ani z katechizmu lwowskiego. *Katechizm Mały* zawiera nawet nieco rycin (w rodzaju dawnego krakowskiego wydania JE. Biskupa Likowskiego) i materyału nierównie więcej niż Średni Katechizm austryacki, który (jak wiadomo) kosztuje także 50 hal., nie mówiąc już o przystępniejszej formie opracowania. *Katechizm Mały* da się także użyć obok *Katechizmu Krótkiego*, podobnie jak *Wyciąg z Katechizmu* (bez pytań po 20 hal.), bo opuszcza tylko pewne pieśni, wyjaśnienia liturgiczne, przykłady i ryciny, a zresztą zawiera *tekst tensam* bez zmiany. Przy bezpośredniem zamówieniu 10 egzemplarzy dodaję jedenasty jako rabat; przy zamówieniu 50 egzemplarzy dodaję siedm bezpłatnych. Książki te nadają się też wybornie na *premie* przy popisach szkolnych.

W sprawie wyjazdu wakacyjnego mogę zapewnić, że w *Primuli* we wsi Bukowinie w Tatrach (957 m. nad morzem) przyjmuję w tym roku chętnie na lipiec i sierpień Gości, nie podlegających chorobom zaraźliwym. Wystarcza, gdy przywiozą ze sobą wystarczającą ilość bielizny, bo wszystko inne (pościel, wikt cztery razy dziennie) otrzymają w *Primuli* za 4 do 6 K. dziennie. Kościół jest tuż obok willi; składnica pocztowa i kąpiel w miejscu. Najbliższą (9 klm.) stacyą kolejową jest *Poronin*, gdzie zawsze wynająć można „budkę“ góralską; osoby nie znoszące trzęsienia na wózku mogą wysiadać w *Nowym Targu*, skąd droga powiatowa, bita i równa (19 klm.), prowadzi aż do początku wsi Bukowiny. Powietrze bukowińskie halne, wolne od kurzu i woni, nie podlegające silnym wichrom, okazało się nader skutecznem w praktyce przy osłabieniu płuc lub nerwów; wspaniały widok na cały łańcuch Tatr i bliskość wycieczek w Tatry orzeźwiają duszę. Przy zamówieniach proszę dołączać zadatek w kwocie 20% kosztów. Oczywiście *qui prior tempore, potior jure.*

Z poważaniem *Ks. W. Gadowski.*

Do Szanownej Dyrekcyi

Krakowskiego Zakładu witrażów i mozaiki WP. architekty S. J. Żeleńskiego w Krakowie.

Zamówione przezemnie trzy okna witrażowe do kościoła parafialnego w Olszynach przedstawiające, Najśw. Maryę Pannę, św. Helenę i św. Annę, zostały wykonane pod względem artystycznym*), jak i co do punktualnej dostawy zupełnie **wzorowo** i ku zupełnemu naszemu zadowoleniu, co z przyjemnością stwierdzam.

Ks. Wiktor Bar, proboszcz.

Olszyny, dnia 5. maja 1908.

*) Kartony projektował Stefan Matejko.

Redaktor odpow. Ks. Walenty Gadowski. Drukiem J. Pisza w Tarnowie.